ROK III. Nr. 13 (113). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 29 marca 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



CZŁONEK „NASZEJ BANDY" Z HOLLYWOOD. (fot. Metro)



Willa Trockiego na Prinkipo, która uległa wypadkowi pożaru. Podpalenie? Nie wykluczone, lecz kogo w takim razie należy winić — stalinowców, czy też samego Trockiego? Pozostaje to niewyjaśnioną zagadką, jak wogóle większość spraw, związanych z Moskwą.



„Czerwony Napoleon" redivivus!

Ktokolwiek do niedawna pisał o „czerwonym Napoleonie", mówił, że wygnaniec odgrodził się od świata i pisze. Pozatem — żadnych szczegółów. chyba to tylko, że ten lub ów z ciekawych, który ani nie zamienił z Trockim paru słów, ani go nie sfotografował — zdołał jakoś ukradkiem podpatrzeć, jak miły Bronsztein chodzi po ogrodzie, okalającym wspaniałą willę Izzeta Paszy i gawędzi z zanglizowanym synem.

I to wszystko.

Wychodzi potem książka Trockiego, tłómaczą ją na różne języki, komentują przez pewien czas napaści na obecnych władców Rosji, sentencjonalnie kiwają głowami — i znów zapada milczenie.

Aż tu, ni stąd, ni zowąd, zawrzało dokoła osoby wygnańca. Fotografują go *en face* i z profilu, za biurkiem, w ogrodzie, na łódce, groźnego i uśmie-

„Czerwony Napoleon" przy pracy. Dlaczego dał dostęp fotografom, kiedy do niedawna nikogo nie dopuszczał do siebie, dlaczego wszystkie redakcje na świecie zasypane są materjałem z Prinkipo i dokąd zbiegł syn Trockiego (fot. u góry), zabierając, rzekomo, większość papierów ojca — oto szereg punktów, na które trudno znaleźć odpowiedź.



chniętego — i zawsze pozującego starannie przed objektywem.

W jednym tygodniu otrzymaliśmy fotografje z różnych stron świata, a pisma prześcigają się nawzajem, zamieszczając o Trockim sążniste artykuły. Oto wzmiankują np., iż wyspa Prinkipo była od wieków miejscem wygnania najznakomitszych ludzi, że los bolszewickiego Carnota przypomina tragiczne dzieje wielu członków rodów panujących, wnikają w szczegóły jego życia, opisują willę Izzeta Paszy, w której zamieszkuje, powtarzają sensacyjne rewelacje o mającym się ukazać literackim przeboju Bronszteina, o machinacjach Stalina i jego zauszników, mających uniemożliwić pojawienie się tej publikacji, o podpaleniu willi, o zniknięciu syna Trockiego z materjałami kompromitującemi i t. d. i t. d.

Skądże ta zmiana ze strony tajemniczego odludka?

Rzecz ma się dość zwyczajnie. Business, zwłaszcza w ręku amerykanów, którzy zakupili następne książki sensacyjne Trockiego, wymaga pewnej reklamy. I wszelkich środków poczęto używać w tym celu, gdyż wiadomo, że sensacyjny autor zeszedł z widowni, i mimo wszystko, cokolwiek może napisać — zgrał się, osłabł, rozkleił, może lada dzień przestać interesować i zniknąć z obiegu, jak wyranżerowany aktor. Business wymaga, aby, bez względu na wysokość sumy, reklama poparła czynnie sprzedaż. Bo i master Trockij i jego nakładcy muszą zarobić, a honorarja, które mają zamiar mu wypłacić, wynoszą podobno nie mniej 1 miljona w dobrej, poczciwej walucie dolarowej.

Trockij przejadł się. Język wystrzępiwszy na wykrzyknikach, któremi ongi szafował bez liku, nie ma dziś tej werwy, porywającej tłumy. Zwłaszcza, że przemawiać jest łatwiej, niźli pisać, nawet gdy się jest tak świetnym pisarzem, jak Trockij.

Trockij kończy się — a żyć jednak trzeba i to nietylko dla „robienia wrażenia" — lecz materjalnie, niczem pierwszy lepszy oplwany burżuj, o którym krzyczało się nieraz, że jeśli „chce zająć miejsce pod słońcem — słońce zgasimy!"

Więc jeśli zarabiają Biesiedowscy et consortes, czemużby i Trockij nie mógł odłożyć trochę grosiwa — na czarną godzinę.

A z drugiej strony, kto wie, czy drogą pisemną nie uda się przyśpieszyć upadku znienawidzonego „Stalinizmu"?

Kto całe życie przebył, jak Trockij, krygując się, jak tylko można, byleby dostać się do historji, nie składa tak łatwo broni. Trockij potrafił w swoim czasie nauczyć się wojskowości, miotać się po całej Rosji, nie wysiadając miesiącami z wagonu, wychodzić z siebie, wyładowując masy niespożytej energji — więc czemużby teraz miał spasować? Zwłaszcza, że, jak rzekliśmy, stawka warta jest zachodu.

Pożar willi, serwis artykułów i fotosów zrobią swoje. Niewątpliwie. I przyszłe wydania dzieł Trockiego mogą liczyć na powodzenie. O to mu tylko chodzi, choćby się jeszcze raz miało publicznie zadać kłam poprzednio wyznawanym doktrynom i z błotem mieszać dawnych kompanów. Jeśli mógł Emerson powiedzieć, że „wierność doktrynie jest zwykłym punktem obłędu ludzi małych", to cóż dopiero Trockij, który wszak nie tylko przyzwyczaił się sam do walki bez skrupułów, lecz cechę tę propagował i porywał tłumy do stosowania metod niesłychanych, w myśl giętkiej zasady „po stolku — po skolku", wszystko tłomacząc, choćby największą zbrodnię lub niebywały nonsens.

Wypadki na Prinkipo i akcja propagandowa, reklamująca „czerwonego Napoleona", zwiastują bezwzględnie nowe jego wystąpienie na arenie publicznej.

Prohibicyjna tragifarsa w Ameryce



Gangster panuje nad prawem.
(Tribune)



Zasłona dymowa gangsterów, za którą zniknęły całe Stany Zjednoczone.
(New Chronicle)

Świadek: — Ja nic nie widziałem....
(Tity Patrick St. Louis)



Al Capone likwiduje Hoovera i bez głosowania zostaje sam prezydentem Stanów.
(Daily Express)



DR. ROMAN CIECHANOW.

Kilka słów o Hiszpanji



Pałac królewski.



Typ włościanki z Asturji.

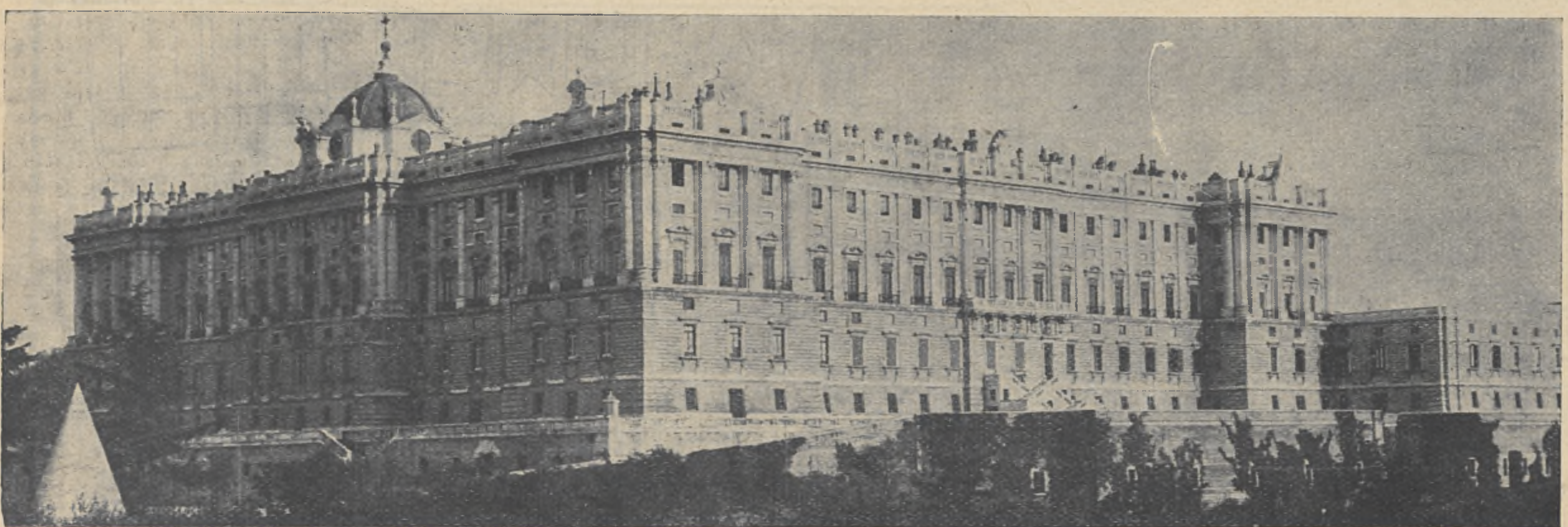
Według obliczeń urzędu statystycznego w Washingtonie, amerykańscy turyści, którzy w roku 1928 przyjechali do Europy, wydali ogółem około 525.000.000 dolarów, to znaczy przeszło dwa razy tyle, ile otrzymali od Europy z tytułu pożyczek wojennych. Wbrew mylnym przewidywaniom, że bezrobocie i kryzys, jakie panują w Stanach Zjednoczonych, zatrzyma napływ turystów do Europy, rządy wszystkich państw europejskich coraz to większe sumy poświęcają na propagandę turystyki.

Tardieu prosił parlament francuski o dodatkowy kredyt dwudziestu pięciu miljonów franków na propagandę turystyki na rok 1930, z przykrością stwierdził on, że olbrymi dochód, jaki Francja czerpie z turystyki zagranicznej, zmniejsza się z roku na rok. Amerykanie w roku 1929 wydali o 40 miljonów mniej, niż w roku 1930. Przyczyna tego bynajmniej nie leży w tem, że turyści ograniczyli się w wydatkach, lub że ich przyjeżdża mniej z zagranicy, ale jest ona prostym skutkiem konkurencji innych państw, które prześcigają Francję w sposobach ściągania do siebie turystów. Niemcy już w roku 1930 wydali około 4.000.000 dolarów na propagandę, Włochy zaś powiększyły swój budżet turystyczny prawie dwukrotnie. Ale największym konkurentem Francji, która bądź co bądź ściągała do siebie większość turystów, jest obecnie — Hiszpanja.

Aż do ostatnich czasów Hiszpanja nie była krajem turystycznym, nie wielu cudzoziemców zwiedzało ten kraj, sądząc, iż brak znajomości języka i niewygody, na jakie tam będą mogli być narażeni, będą jedynie powodem rozgoryczenia i straty czasu. Od niedawna jednak opinja ta uległa radykalnej zmianie.

Oficjalna statystyka hiszpańska podaje, iż w roku 1929 kraj ten odwiedziło 369.000 turystów. Nic w tem dziwnego. Hiszpanja jest prawdziwym rajem dla turysty, który znajdzie tam bezcenne skarby sztuki, urocze krajobrazy, ciekawe pamiątki historyczne, słoneczny, zdrowy klimat i prawdziwy współczesny komfort. Do Hiszpanji śpieszy więc zarówno subtelny znawca sztuki, jak i zblazowany turysta, lub chory przybysz z północy, spragniony słońca, albo poszukiwacz niezwykłych rozrywek i miłostek. Każdy znajdzie tam to, czego szuka.

Do niedawna jeszcze turystyka w Hiszpanji była zupełnie niezorganizowaną i pozostawioną samej sobie; brak było instytucji centralnej, jednoczącej wysiłki wszystkich jednostek. Dopiero 21 kwietnia 1928 roku dekret króla Alfonsa powołał do życia „El Patronato Nacional del Turismo", to jest narodową instytucję propagandy turystycznej w Hiszpanji. Zadaniem tej instytucji było scentralizowanie wysiłków, zmierzających do ożywienia turystyki. „El Patronato Nacional del Turismo" rozwija swą działalność w trzech kierunkach: ochrony i konserwacji skarbów sztuki, propagandy turystyki i organizacji podróży. Rezultaty, osiągnięte w ciągu swej krótkiej działalności, są imponujące: nie



Imponująca fasada Escorialu.

ma już trudności do tej dalekiej i obcej Hiszpanji, oddzielonej od Europy murem Pirenejów. Dotychczas jedynie nie może wyjechać do Hiszpanji żaden europejski pociąg, wskutek różnicy szerokości szyn kolejowych, podróżni muszą się na granicy przesiadać w nowy hiszpański pociąg, co jest niejako symbolem tego, że wchodzi się do nowego, nieznanego kraju, tak różnego i pełnego niespodzianek.

Dwie zeszłoroczne wystawy: w Barcelonie i Sewilli, przyczyniły się w znacznym stopniu do spopularyzowania Hiszpanji wśród szerokich mas turystów, którzy przekonali się, że Hiszpanja, zachowując swój charakter kraju na pół egzotycznego, potrafi jednocześnie dostarczyć im najwięcej komfortu i wygód. Wzorami tego komfortu są parowce linji „Sompania Transatlantica Espanola", „Spanish Royal Mail", „Marques de Comillas", albo „Cristopal Colon", ściągające z Ameryki coraz to większe rzesze bogatych turystów.

Polska mogłaby również postarać się, jak i Hiszpanja, o to, by nagle świat sobie przypomniał, że są u nas piękne krajobrazy i skarby artystyczne, zagranicą nie znane, niestety, jednak, my nie możemy dać jeszcze teraz turystom potrzebnych im wygód, a propaganda nasza ma zbyt ograniczone kapitały, by konkurować z zachodem.

Tadeusz Kończyc

(SYLWETKA)

Któż nie zna Tadeusza Kończyca? Cała elita towarzystwa warszawskiego widuje go... gdzie? Wszędzie... Na premjerach teatralnych jako sprawozdawcę... Sprawozdawcę? Nie, to mało... Jako krytyka wytrawnego, umiejącego ująć sedno sztuki, scharakteryzować ją, wydzielić jej stanowisko widowiska sztuki scenopisarskiej i napisać to z werwą, wdziękiem, humorem, a jeśli trzeba, z lekkiem, ale celnem trąceniem ostrzem cytowanej ironji... A potem, widzi go ta, również warszawska, ale jakże inna publiczność, również na premjerach — ale teraz w teatrzykach rewjowych, balansującego na granicy szczerości estetycznej i — kurtuazji pobłażliwego feljetonisty, który wie, że wymagać wiele — to jest wymagać za dużo.

A więc pisze przychylnie, życzliwie, ujmująco dla czytelnika, zachwyconego błyskotliwością pióra Pana Konczycowego, oraz uszczęśliwionego dyrektora teatrzyku, który drżącemi kończynami czyta recenzję Kończyca, Arystarcha najpoważniejszego dziennika warszawskiego.

Potem, jego ulubione zajęcie — popieranie talentów.

Gdyż Kończyc, to bodaj ostatni z truwerów Warszawy, rycerz pięknych pań — a cóż dopiero przepięknych twórczyń... Popiera tedy, odnajduje bodaj, wyczuwa śród powodzi grafomańskiej talenty prawdziwe i pieści je — na łamach pism literackość mających i popierających...

To też zawsze jest oblężony przez słowicze gronko młodocianych poetek, a on nie odtrąca, nie płoszy, jeno je zachęca, ośmiela, w tajniki „gramatyczności" cierpliwie wdraża, o! dobrotliwy!

Ale nietylko piórka prostuje i zjędrna ptaszynom podfruwajkom kunsztu galjardowego.... o, nie! to dla jego spontanicznej energji zamało, gdyż on popiera jeszcze talenty muzy-niemowy, a jak obecnie — i mownej a śpiewnej...

Gdyż Kończyc interesuje się kinem. Dla jego umysłu kinetycznego, kinetyczność kina jest ujęciem tak pożądanem, tak wymarzonem, gdyż będącem kaskadą, spadem, wodospadem, Niagarą błyskotliwości, pędu, zawrotnych polotów i oszałamiających niespodzianek...

Bo Tadeusz Kończyc lubi kino. Najwspanialsze dziwa kinomanji rodzimej pod jego auspicjami się rodzą, a on je utula, hołubi, wypieszcza i w świat puszcza, drżąc w sercu milcząco, czy aby obojętność nie wypuści lodowatych postrzałów na jego pupilątka i na prezentację nie zapuszcza kotary — nieobecności...

Lecz o to spokój!

Napis: „pod kierunkiem literackim Tadeusza Kończyca" wystarcza, aby tłumy zawrzały żądzą nieutuloną biedz, wpaść, zasiąść, dać się unieść, porwać potędze sugestywnej Dziesiątej, wzruszać się, śmiać, jeść pomarańcze, klaskać



Tadeusz Kończyc.

i klaskać bez końca, nietylko reżyserowi i aktorom doskonałym, lecz i — Kończycowi, jako jubilerowi, cyzelującemu tworzywo peotyckoreżyserskie...

Kończyc tedy popiera talenty kinowe. Wyczuwa w lot ten szczególny, odrębny gatunek talentu, który, będąc niczem na scenie (Pola Negri), staje się częstokroć rewelacją w kinie...

Widzę Tadeusza Kończyca, jak przy wieczornym paciorku, wygłasza, dzięki swemu patronowi, że dał mu to, co jest najtrudniejszem w życiu człowieka wszelakiego do osiągnięcia, że skierował go na drogę właściwą...

Drogę? Nie! Tysiąc dróg, a wszystkie promienne jego wybitną jaźnią, wszystkie wybuchające błyskawicami twórczości.

Teraz zmiana dekoracji.

Gdzie jest Kończyc, wyelegantowany, wysmokingowany, wyfraczony, wyrafinowany, salonowięc, bywalec, wykwintny *causeur*, a potrosze, ba, proszę: bardzo „trosze" Don Juan-Bajronista?

Któż to przez pola pędzi na dzielnym rumaku, przed nim sfora psów, na nim burka rozwiana, za nim wicher napróżno wyprzedzić go usiłujący? To Kończyc u siebie na wsi, to Kończyc na ziemi ojców gospodarzący!

Gdy chwila pozwoli, a on chwile takie mieć musi, ucieka od gwaru samochodów, autobusów i — głośników, w gwar-poszum lasów, w gwar ptaszząt pól i wzgórz, tam, gdzie człowiek milknie, a cud-przyroda — gada...

A on słucha w skupieniu jej mów tajemniczych, lecz nie tajnych dla jego duszy — wrażliwego, jak mimoza, instrumentu...

Poeta...

A potem — czytamy...

Tak, w tych czasach kopania piłki, „wyczynów" lekko i ciężko atletycznych, czytamy — Kończyca...

Bo trzeba, bo konieczność, bo mus!

Bo jest, psiakrew, w duszy ludzkiej nieukojona tęsknota za czemś, czego wypowiedzieć nie sposób, a co dłoń poety wskazuje, objaśnia, ucieleśnia...

Pośród rwetesu szkół, szkółek, kapliczek, zrzeszeń, „regjonalności" i wszelakich „abstrakcyjności" stoi muza Kończyca, tak pociągająca, tak powabna, tak droga a miła, i taka jakaś swoja, że pokłonić się jej trzeba i pod jej cary iść — staje się koniecznością serca...

Bo w poezji jego jest nasza tęsknota wiekuista, pomimo czasy przemienne, pomimo „wszystko płynie", bo człowiek zmienia odzienie, sza ty, ubiór, strój, ciała i ducha, ale nic nie może zmienić w swoim pierwiastku nieśmiertelnym, którego wyrazem jest — poezja...

Zasiadasz w pałacu, kamienicy, na pierwszem, drugiem piętrze mieszkania, na skromnej facjatce wreszcie, ty bogacz, ty przedsiębiorca, ty starszy, ty młodziaku, majętny czy biedny — tak rozmaity z racji stanu, majątku, przekonań, dążeń, spraw takich czy innych, tak różny w życiu realnem i oto... wobec poezji Kończyca staje się wszystko jednakie — w chwili obcowania z jego przepiękną twórczością.

Zapominasz o dniu powszednim, o dniu zabiegów i o jutrze ambitnem, niepokój naszych dni odbiega od ciebie, i stajesz się cichy, zadumany, marzący, pod tchnieniem magicznych wyzwoleń emanacji duchowych Kończyca...

A ten mówi ci rzeczy proste... I mówiąc, mówi za ciebie... Powiada o miłości, która przemija, wiosnach, których niema, pragnieniach niezisczonych, smutkach za szczęściem odeszłem, a ty, chłoniesz te strofy czarownicze i szepczesz: — to moje..., to ja tęsknię... to ja pragnę... to mnie ominęło ziszczenie snów „przetowłose"... ten Kończyc — to *mój*...

Twój...

Bo on sprawił, że z głębin ducha twego, krytych powłoką zdarzeń, wytrysnął hart życia, które jest *jedynie prawdziwe*, jedynie czegoś warte, życie twej arcyludzkiej, prześwietlej szczerości wzruszeń a zadumy...

I dlatego on jest twój, dlatego musisz z nim być, i dlatego błogą jest chwila, gdy przydarzy ci się ujrzeć Tadeusza Kończyca nie wtedy, kiedy jest w odmęcie swoich prac: teatr, kino, gazeta, społeczeństwo, ale gdy go spotkasz pod niebem nizko zawisłem, na polu rozległem, obrzeżonem szafirem lasów dalekich, gdy konia wstrzymał i w dal się wpatrzył...

A wtedy. o dziwo, zobaczysz, że na jego uśmiechniętem obliczu światowca zalega blada mgiełka melancholji — i w oczach, które się skarżą, jakby dziecięco, połyska srebrzysta łza.

Bo wtedy ujrzałeś go takim, jakim jest istotnie, bo wtedy ujrzałeś — poetę...

Ale to widzieć trudno...

M. Ostoja.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał II-gi

Wielki mistrz — natura

W swej pięknej książeczce „O istocie Ewolucji", która popularyzuje najistotniejsze zagadnienia biologiczne, powiada między innymi Jan Dembowski: „Czemże jest samo pojęcie piękna, jeśli nie uosobieniem przyrody... Jak słabym zmysłem obserwacyjnym musiał być obdarzony lord Henry u Oscara Wild'a, pragnący napisać powieść równie piękną i równie nierealną, jak kobierzec perski, zapominając najoczywiściej, że całe piękno sztuki perskiej jest tylko wynikiem naśladownictwa piękna przyrody, dodajmy naśladownictwa dosyć pierwotnego i prymitywnego.

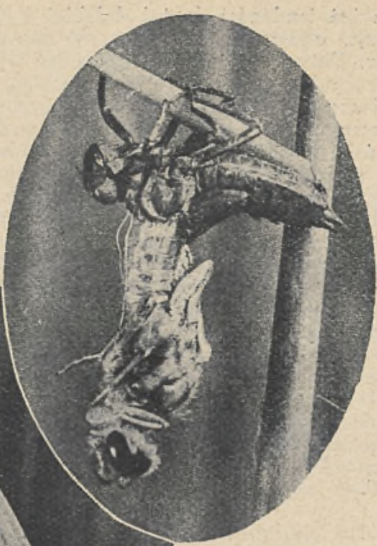
Nietrudno odgadnąć, ile zyskałoby chociaż zdobnictwo, gdyby piękno natury znane było w całej rozciągłości, gdyby zwrócono się od wzorów klasycznych, lub prób sztucznego tworzenia do mikroskopu, który jest zaprawdę odkrywcą świata czarów i cudu.

Nie popełnimy wielkiego błędu, jeśli powiemy, że nic niema w naszej sztuce, a częściowo i w technice, czegoby lepiej, dokładniej i piękniej nie rozwiązała natura jednem „stań się" jej sił nieskończonych, nieodgadnionych i tak niepojętych, jak staroegipskie nuty o reinkarnacji, narzucają się mej świadomości, ilekroć myślę o przemianach w przyrodzie, choćby o metamorfozie owadów. Wówczas mimowoli wysuwa się hipoteza: czy np. los przeobrażeń naszej zwykłej ważki nie stoi czasem u podstaw onej zbożnej prawiary mądrych egipskich kapłanów?





Ważka suszy skrzydła przed pierwszym lotem.



Młoda ważka wyzwala się z osłonki larwalnej.

Spojrzyjmy na ilustracje: oto przed nami chwila cudu, uchwyconego przez badawcze oko aparatu, to bynajmniej nie medjumiczne zjawisko, ani seans szarlatanów spirytystycznych — to Boża chwila przemian poczwarki w dojrzałą ważkę. Jeszcze niedawno ów pancerz larwalny, który opuszcza owad, krył rozbójniczą istotę, wylęgłą z jajeczka w stawie, czy jeziorku. Pozbawiona skrzydeł dorosłego owadu buszowała nasza larwa w wodzie, „w wiecznej pogoni za żywiołkami drobniejszego tworu", które tępiła przy pomocy długiego, fantasmagorycznego ramienia, zakończonego ostremi szczypcami, a będącego wydłużeniem dolnej wargi. W spoczynku ten narząd złowieszczy spoczywał skromnie złożony na piersi, kryjąc swą przednią szeroką częścią przód głowy — jak maską, albo przyłbicą. Zaledwie zjawiała się zdobycz, błyskawicznie spadała na nią ciężka maska i przebijała szczypcami nieszczęsną ofiarę, później drgającą, półżywą, przerzucała do paszczy, na twarde żarna górnych szczęk.



Czułek moskita.

Lecz oto stało się; w dniu oznaczonym wybija godzina cudu, na grzbiecie larwy, tuż poza głową, pęka stopniowo powłoka, przez którą, jak widzimy, wysuwa się na świat głowa dorosłego owadu (imago), jakże inna, zmieniona, lecz ona właśnie powstała pod okrutną maską. Za głową wyłania się tułów, który powoli wysuwać się poczyna przy pomocy nóg z dotychczasowej powłoki. Niby złudna zjawa, czy emanacja, jest nasz przybysz mglisty w zarysach i delikatny, ale cudnie i żywo połyskuje już oko, zwiastując energję i życie. Nowy owad przegina się głową do dołu i przebiera zabawnie nogami, wprawiając je do ruchu, wciąż ciągnąc resztę ciała nazewnątrz. Później przechyla się do przodu, szuka oparcia na głowie wylinki larwalnej i chwytając ją żuwaczkami, podciąga się, niby gimnastyk, ku górze, wywlekając całkowicie z powłoki. Lecz skrzydła wilgotne i słabe musi dobrze wysuszyć na słońcu, przed pierwszym lotem, do którego rozpościera je szeroko i mocno.

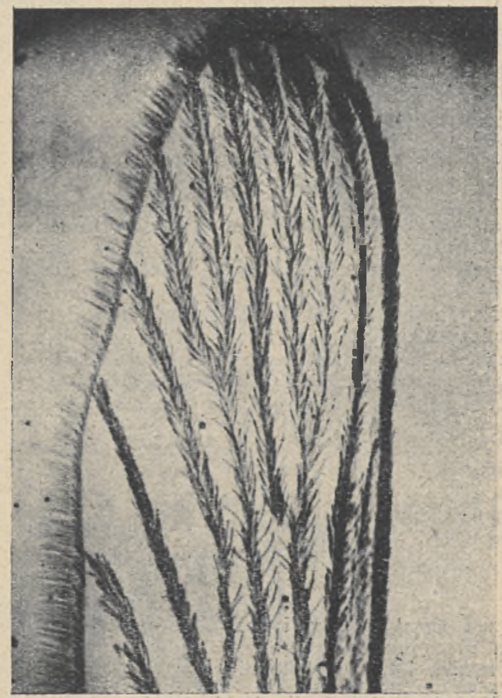
Poznajemy w tej budowie wspaniałego lotnika. Te kunsztownie zestawione, obliczone przez naturę skrzydła, grając w słońcu blaskiem metalu i tęczy, poruszone niezawodną energją mięśniowego motoru, przystosowane są do lotów pośpiesznych, wytrwałych i długich. W czasie bowiem wędrówek i masowych przelotów liczne gatunki ważek przelatują morza, chwytając w locie inne, słabsze i mniejsze owady, które tępią bezlitośnie.

Niechaj ten przykład uprzytomni, jakim rozpędem twórczym kipi natura, czyż nie najprościej wyglądałby rozwój, gdyby z jajeczka, złożonego przez matkę, formował się odrazu owad dorosły, ten brak larwy wyszedłby nam, ludziom, raczej na korzyść — ważka ze szkodnika stałaby się piękną ozdobą naszych łąk nadwodnych, niby drogocenny kryształowy kwiat latający. Ale twórczy impet Mistrza-Natury nie wybiera dróg najłatwiejszych, stać ją na luksus powoływania do życia, stać ją na grę przemian. W ruchu i tworzeniu objawia się najlepiej, szafując formą, barwą, niesamowitością i baśnią, w każdym tym procesie i objawieniu.

Czyż dzieje ważki nie zdumiewają nas, conajmniej jak „Portret Dorjana Gray'a", a zilustrowane tu powiększenie skrzydeł i czułków moskita, czy nie jest w konstrukcji i w budowie wraz ze skrzydłami ważki równe kunsztownym wiązaniom mostu na Hudsonie, nad rozwiązaniem którego pracowało dwadzieścia wieków cywilizacyjnego rozwoju ludzkości?

Kto wie, czy gdyby wielcy mechanicy byli jednocześnie przenikliwymi obserwatorami żywego tworzywa natury, czy na cud mostu Hudsońskiego, wypadłoby czekać tak długo, i może ta uwaga pozwoli nam zrozumieć mądrość budowniczych piramid, którzy się uczyli budownictwa z pewnością od termitów.

Max.



Skrzydło moskita.

JADWIGA KIEWNARSKA

List z Paryża

Dylemat kolorystyczny

Rodak czuje się zupełnie dobrze w oberży „Au Negre de Toulouse", póki malowniczą jej nazwę usprawiedliwia jedynie nagi, bronzowy murzynek, dźwigający na swych barkach chronicznie zepsuty zegar. Na widok żywego, eleganckiego murzyna, w doskonale skrojonem, angielskiem palcie, nasz Polak zaczyna się ożywiać, niczem stuprocentowy Yankee.

— To skandal! To świństwo!!! To rzecz nie do zniesienia, żeby do przyzwoitych lokali wpuszczano kolorowe bydło!...

— Mój panie! Niech się pan napije wody sodowej i weźmie na spokoj. Tu nie Ameryka.

— Niestety! Niestety!... Szelmy, Francuzy, nie mają żadnej ambicji: przyjmują czarnych do wojska, robią z nich oficerów... Tylko w marynarce, na szczęście, ich jeszcze niema. Ha! I spodziewam się, że nigdy nie będzie.

Polski marynarz dumnie pręży swą białą (tak przynajmniej sądzę z pozorów) pierś, obciągniętą na razie ciemnym homespunem cywilnej kamizelki.

Cokolwiekby się na ten temat mówiło i słyszało, faktem jest, że kobiety łatwiej niż mężczyźni wyzwalają się z pęt tradycyjnego snobizmu. Może dlatego, że są odważniejsze z natury, a może poprostu ciekawsze? Za przekonywujący przykład służy, wspólna nam wszystkim, prababka — Ewa.

Rodakowi obecność murzyna przy sąsiednim stoliku, psuje wyborny smak marsylskiej bouillabaisse'y, a rodaczki, we śnie i na jawie, marzą o tem, żeby poznać jakiegoś czarnego gentleman'a, osobiście. Raz nawet były już zupełnie zdecydowane na zaczepienie takiego wspaniałego egzemplarza w kolejce podziemnej. Za długo jednak zastanawiały się nad tem, jak tę zaczepkę upozorować, a murzyn w międzyczasie wysiadł. Tak, niefortunne wahanie obraca w niwecz najmądrzej przemyślane plany genjalnych strategików.

Od czego jednak ludzie uczynni!

— Chciałaby pani poznać murzyna? Ależ, droga pani! Nic łatwiejszego. Na najbliższą sobotę zaproszę, specjalnie dla pani, przemiłego porucznika generalnego sztabu. Doskonale wychowany; ma legję honorową.

Ślicznie. Słowo się rzekło, kobyłka u płotu. Jest sobota i jest murzyn.

— A teraz, mon cher lieutenant, przedstawię pana pewnej uroczej blondynce, która ogromnie chce pana poznać.

Przemiła pani domu dba o swoich gości i chce każdemu z nich sprawić przyjemność. „Urocza" blondynka sama tego chciała, a teraz przeżywa jedną z najbezradniejszych chwil swego żywota. Można marzyć o poznaniu sławnego lotnika, bo się jest wielbicielką odwagi i amatorką sensacyj, wirtuoza, aktora czy literata, gdy się jest znawczynią sztuki; pana Iks, poprostu, bo się o nim dużo słyszało od pani Igrek. Do tego wszystkiego, można się, bez najmniejszej żenady, przyznać, wszystkim to głośno powiedzieć. Ale murzyna chce się poznać jedynie dlatego, że jest murzynem; a tego przecie, w żaden żywy sposób, *jemu* powiedzieć nie można.

„Urocza" blondynka uśmiecha się głupawo i czerwieniąc się, wyciąga do czarnego porucznika białą rękę... w milczeniu.

Bo co można powiedzieć murzynowi? Dręczy i aż swędzi na końcu języka pytanie:

— Panie, jak to właściwie jest? Co się czuje, kiedy się nie jest białym?

Tylko że o to zapytać niepodobna. Na to, zresztą, murzyn nie mógłby odpowiedzieć. Niema punktu porównania: nigdy nie był białym.

Czarny porucznik zachowuje się, niczem wytrawny europejski salonowiec. Przysuwa sobie krzesło, siada bliziuteńko i swobodnie zagaja rozmowę.

— Pani bawi oddawna w Paryżu?

Zabawny, nieduży murzynek, jakby żywcem wycięty z ilustracji do dziecinnych bajek. Nad szamerowanym kołnierzem munduru, wełnista czupryna i płaska twarz, lśniąca, jak buty, codziennie czyszczone szuwaksem, przez służbistego ordynansa. Porcelanowe gałki ruchliwych oczu śmieją się, pełne życzliwej wesołości. Uśmiech wywiniętych, czarnofjoletowych warg, odsłania zęby olśniewająco białe. Ręce, szarmancko przysuwające herbatę i przytrzymujące koszyczek z ciastem, są utrzymane bez zarzutu, mają pierwszorzędnie zrobiony manicure, ale są czarne, brrr!... jakie czarne!

— No, a jakie mają być, u licha ciężkiego?!...

Nie, trzeba się przecie przemóc i rozmawiać z tym czarnym, tak samo, jak z białym. Zupełnie tak samo, jak z białym.

Ale to jest niemożliwe. Dla żadnego białego nie byłoby się tak uprzedzająco i pobłażliwie uprzejmą.

Kiedy murzyn, w imieniu swej ojczyzny Francji, obiecuje Polsce sojusz wierny i niezłomny, oświadczenie to przyjmuje się z wdzięcznością i solenną powagą, jakgdyby się miało do czynienia z samym panem Doumergue. Kiedy czarny porucznik mówi o cudacznych wierzeniach fetyszystów z Gabonu, jego ziemi rodzinnej, odczuwa się ten sam rodzaj zażenowania i niepokoju, jak kiedy kulturalny i inteligentny semita zaczyna opowiadać żargonowe anegdoty. I z gorączkowym pośpiechem wyszukuje się mnogich przykładów, podobnie ciemnych, ba, znacznie naiwniejszych przesądów u bretońskich rybaków, albo u rusińskiego ludu. Ostatecznie lody przełamuje taniec. Porucznik tańczy, jak czarny anioł, choć może z większą jeszcze dystynkcją. W walcu, wszystkie panie dobierają go na wyścigi, która pierwsza.

Nocne rodaczek rozmowy:

— Jakże się pani udał czarny porucznik?

— Ach, owszem! Przemiły. Tylko, wie pani, z początku strasznie było mi głupio w jego towarzystwie. Tak się ciągle bałam, że sobie pomyśli, że dlatego chciałam go poznać, bo... bo murzyn.

To tak samo, jak ja, w swoim czasie. Lecz on o tem doskonale wie. Jest bardzo inteligentny, świetnie wychowany i odrazu opanowuje sytuację.

— Ooo, aż tak? No, no!

— No, nie do tego znowu stopnia.

— Bo murzyn?

— Bo murzyn.

Z Polkami to wogóle strata czasu. „Poncz na święconej wodzie", jak dawno już stwierdził Sienkiewicz. Ale Francuski są i bardziej dorzeczne i rzeczowsze. Nie należy wątpić, iż dzielny porucznik, strojny czerwoną wstążeczką legji i mający przed sobą otwarte pole do najdalej idących zaszczytów wojskowej karjery, znajdzie sobie bez trudu białą żonę w ubogiej w mężczyzn Francji. A i przed wstąpieniem w związki małżeńskie zdąży swej przybranej ojczyźnie niejednego obrońcę przysporzyć.

— Czarne niebezpieczeństwo?!... Zepsucie białej rasy?!...

— Ee, ja sądzę, że nie należy z tem wszystkiem zbytnio przesadzać. Lekka domieszka świeżej, zdrowej krwi afrykańskiej, może wyjść neurastenicznym europejczykom tylko na korzyść. Będą się rodziły dzieci, zrazu ciemno, potem jasno czekoladowe, wreszcie prześlicznie kremowe.

I pod względem estetycznym może takie skrzyżowanie ras i barw dać nader szczęśliwe rezultaty. Przecie przy mleczno-kawowej Joséphine Baker, żywem dziele sztuki, najpiękniejsza z białych girls'ów wygląda brzydko i pospolicie, jak rodzima pietruszka przy podzwrotnikowej orchidei.



Atmosfera ogólna staje się coraz cięższa, dławiąca. Wkrótce może będzie już nie do zniesienia.

I—o dziwo—mimo, że dzieje się coraz gorzej, coraz większy posłuch znajdują jacyś „radośni" utopiści, którzy wyobrażają sobie, iż z potoku słów, jaki wylewają bez przerwy, zdołają wyłonić formułę recepty zbawiennej, na wszelkie dręczące dolegliwości.

Konferencyj — nie licząc oficjalnych, międzypaństwowych, notujemy coraz więcej, nigdy jeszcze nie wygłoszono tylu prelekcyj, nie wypisano takiego mnóstwa referatów, adresów, deklaracyj. I, mimo, że wszystko ma na celu jeden jedyny temat — uzdrowienia stosunków, zatruwających nam każdą chwilę życia — horyzont zaciemnia się coraz bardziej, a my, pogrążeni w odmęcie paradoksów — tracimy resztki sił, zachłystujemy się bezradnie.

Z jednej strony obserwujemy wzrastające objawy chorobliwego entuzjazmu dla pojęć, które w samej rzeczy pozbawione są realnego znaczenia i, przecząc jedno drugiemu, są niczem innem, jak czczą utopją. Ktokolwiek interesuje metodyka podobnego myślenia, może spróbować wczytać się w elukubracje tęgiego skądinąd polityka, sen. Jouvenela, który, notabene, w tym samym czasie popisywał się w Berlinie krasomówstwem pacyfistycznem, kiedy w Reichstagu uchwalano jeden z pierwszych wniosków rewizjonistycznych, mających na celu odzyskanie od Belgji prowincyj Eupen i Malmedy. Żongluje więc słowami Jouvenel, Herriot gniecie w wylewnych uściskach serdeczności jakiegoś prelegenta niemieckiego, nazywając go „notre cher ami l'allemand", upajają się słowami różni mówcy po całym świecie, a tymczasem rozwija się bez przerwy i z bezlitosną logiką pewna robota konkretna, twórcza, a zarazem— jakżeby bez paradoksu... destrukcyjna: dzieło odbudowy potęgi Niemiec.

Robota ta rozwija się z niesłabnącą energją — *per fas et nefas* i jeśli w ubiegłym tygodniu mieliśmy do zanotowania fakt porozumienia, jakie nastąpiło pomiędzy Niemcami a Sowietami w sprawie współdziałania w realizowaniu „piatiletki", a jeszcze przedtem, niemal co tygodnia, wspominaliśmy o innych wieściach alarmujących z poza zachodniego kordonu — to dziś stoimy znów przed faktem, godzącym w dzieło pokoju —przez doprowadzenie do skutku oddawna omawianej umowy Anschlussu austro-niemieckiego. Chodzi tymczasem o sprawy natury czysto gospodarczej, lecz od unji celnej do aljansu politycznego dzieli nas jeden krok, a dalej zarysowuje się w perspektywie widmo Mitteleuropy pod batutą Berlina i t. d. i t. d. — *ad majorem Germaniae gloriam...*

Robota rozwija się. Nazajutrz po osławionej ugodzie morskiej pomiędzy Anglją, Francją a Italją (już zachwianą, notabene, wskutek opozycji ze strony Ameryki), Reichstag uchwala dalsze kredyty na zbrojenia morskie.

Nie zaniedbując wreszcie żadnej sposobności do wystąpienia antypolskiego, sąsiedzi nasi zainscenizowali wzdłuż całego kordonu granicznego uroczystości „ku uczczeniu" 10-lecia plebiscytu górnośląskiego. W niedzielę przybędzie do Bytomia sam kanclerz Rzeszy, aby zagrzać serce widokiem skupionych mas młodzieży, śpiewającej hymn o „Utraconej ojczyźnie". Dzwony w całem państwie bić będą na znak żałoby. Stahlhelmowcy i przeróżne organizacje wojskowe defilować będą butnie...

...A mówcy po całym świecie głosić będą radosną wieść o pokoju.



W dniu 22 b. m., w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, odbyła się uroczystość poświęcenia lokalu Aeroklubu.

Bieg Sulejówek-Belweder



Współzawodniczące drużyny krzepią swe siły cukrem.



Dokonanie ostatecznego retuszu paktu morskiego pomiędzy Anglją, Francją a Italją powierzono ambasadorowi japońskiemu w Londynie, p. Matsudeira.



W dniu 20 b. m., po długotrwałej chorobie, zmarł w Berlinie wybitny mąż stanu niemiecki, b. kanclerz Rzeszy, ś. p. dr. Herman Müller-Franken.



Ś. p. Konrad Jan Piotrowski.

Bezlitosna śmierć zadała naszemu koledze, red. Janowi Piotrowskiemu, okrutny cios, zabierając mu jedynego syna, ś. p. Konrada. Cios to tem boleśniejszy, iż przedwcześnie zmarły młodzieniec, nie bacząc na straszną chorobę, która trawiła Jego organizm, rwał się do życia całą siłą swego bujnego temperamentu i wielkiego ukochania dla rzeczy najpiękniejszych. Był obiecującym poetą, malarzem i muzykiem — lecz nadewszystko kochanym chłopakiem, niosącym w swem sercu skarby wiośnianej radości, udzielającej się wszystkim, co się z Nim stykali. Z tym samym uśmiechem, który Go nie opuszczał, choćby w najcięższych chwilach choroby, pożegnał najbliższych i przeniósł się w zaświaty.

Czemże, mój Boże, lepiej pocieszyć możemy zbolałego ojca, jak nie głębokiem przeświadczeniem, iż tam, w przybytku wiekuistego ukojenia — ś. p. Konrad zazna wreszcie szczęścia, o którem zawsze marzył za życia, szczęścia, którego już żadna przeciwność losu Mu nie odmieni.

A że czuł to z pewnością na łożu śmiertelnem — opuszczał nas z uśmiechem, opromieniony nadzieją...

Requiescat in pace...

KAROL TAUBE.

Uśmiech Neptuna

Rozdarły czarną noc promienne miecze reflektorów, uderzyły w chmurne niebo, spadły na drzemiące w ciszy morze i znikły w otchłani. „Mój Niszczyciel" śpi spokojnie, jak dziecko. Miarowo, łagodnie, bije fala o wąski zgrabny kadłub. Chyboce się zlekka.

Niebo znowu jest ciemne, lecz morze pełne miękkiego, dyskretnego światła: nie lśni, nie razi, nie oślepia, lecz działa jak muzyka, przenika do duszy i każe myśleć o sobie, że jest jasne, przejasne.

Znagła wstrząsnął ciszę potężny dźwięk syreny, jakby hasło tęsknoty do krain cudnych, do mórz wielkich, wydarło się z piersi stalowej pancernika; powtórzyły go z kolei inne okręty i poniosły w morze potężny zew.

Morze przyjęło wezwanie; już się tylko echo kołace wśród tatarskich maleńkich domków, na krańcach miasta, aż i ono zamarło w ponurych tawernach portowych, wśród zgubionych dusz.

Obudził się „Mój Niszczyciel". Zasapały motory. Pobiegły chyżo fale, niespokojnie uderzyły o brzegi, bo oto z pomroki wysuwa się olbrzym stalowy, a za nim wał śnieżny piany.

Zadrżał radośnie okręcik: w morze! w morze! w morze!

Ach, czemu te torpedowce tak powoli wypływają! — zdawał się warczeć przeraźliwie motor.

Nareszcie!

Opadły sznury, krępujące swobodę „Niszczyciela", zakotłowała się woda, stateczek rzucił się cały naprzód i popędził, jak strzała, by po chwili zwolnić biegu i poważne zająć miejsce za torpedowcami.

Nie bardzo mu się to podoba: wolałby mknąć samodzielnie, mieć tylko szafirowy bezmiar przed sobą, a nie długi szereg statków. Lecz na to nic poradzić nie można, trzeba umieć zachować powagę prawdziwego wojennego okrętu, szczególniej, gdy się będzie przechodzić koło admiralskiego pancernika, który tak strasznie imponuje swemi olbrzymiemi armatami. Wystarczyłoby jednej takiej „pani", by zająć cały pokład okręciku, a jeszcze z przodu i z tyłu sterczałyby kończyny jej cielska. Upokarza to, lecz powagę trzeba zachować. Nie takie znów było co jest „Mój Niszczyciel", nie ma miny tak bardzo groźnej, jak pancernik, ale zato bardzo czupurną: z tyłu armatka, z przodu karabin maszynowy i sporo bomb na pokładzie, na wypadek gdyby łódź podwodną gdzie przyłapał. Takiego szczęścia, coprawda, nie dożył jeszcze. Jest młody i niedoświadczony, ale zato różnym transportom z tytoniem i czekoladą dobrze się dał we znaki.

Noc cicha, wiosenna. Śród poszarpanych chmur skrzą się gwiazdy. Spokojnie migają światełka sygnalizacji na admiralskim pancerniku. Już minęliśmy go. Statki zdwoiły szybkość.

— — — — — — — — — — — — —

Brzegi znikają. Już tylko hen, daleko, ponad cichą, sennie gwarzącą falą, mającą zarysy górzystego wybrzeża.

Niebo, porozumiewawczo tysiącem lśniących oczu mruga do otchłani. Aż oto znagła, Bóg zamknął nas w olbrzymiej kuli gwieździstej. Wrażenie granic wszelkich znikło — wiekuistość ruchliwego bezmiaru pochłonęła myśli.

Gwar morza rósł, potężniał z każdą chwilą. Nie ciche to już, potulne, chybotanie się fali na płytkiem pobrzeżu. Moc wielka życia głębi bezmiernej podnosiła coraz większe fale. Coraz potężniej rzucała niemi na idące wciąż naprzód i naprzód okręty: z łoskotem spadają na ostrą pierś rozbite, sycząc złowrogo, przelewają się u burt, by znagła, z większą jeszcze furją, uderzyć w następne.

Na pełnem morzu nikt nie jest w mocy utrzymać w szeregu „Niszczyciela". Woń otchłani odurza go, słona fala upija — wyrwał się i pomknął w dal.

Rwie w szumiącym korytarzu. Fale z drogi! Gwiazdy z drogi! Już tylko puszysta droga po nim pozostała.

— — — — — — — — — — — — —

Chorąży Komiński, zataczając się w takt ruchu statku, mierzył pokład ogromnemi krokami. Czasami się zatrzymywał, i wpatrując się w fale, mruczał coś pod nosem.

Okręcik rozbija ostrą piersią fale i pędzi coraz chyżej, chyżej.

Z pierzastej fali wypłynął później księżyc i, przeszedłszy się po pokładzie, znikł za jakąś większą falą.

— I staremu Komińskiemu należałby się odpoczynek; już serce nie w porządku — skarżył się cichutko, unikając mych natarczywych spojrzeń.

Nie poznawałem go. Zdało mi się w tej chwili, że przede mną, nie mój, pełen inicjatywy „wilk morski", lecz staruszek zgrzybiały.

— Więc zapewne porzucisz morze, jak tylko będziesz mógł? — spytałem niespodzianie.

Komińskiemu ciężko spadła głowa na piersi. Milczał.

— Posłuchaj, przyjacielu — zaczął cichutko — przed samym naszym odejściem zjawił się do mnie jakiś młodziutki miczman. Podchodzi blisko, bliziutko. I, patrząc mi pilnie w oczy, pyta: poznajesz mnie, ojcze? To był mój syn, Wacek... Gdym go ostatni raz widział, miał zaledwie kilka miesięcy, teraz jest już człowiekiem, mnie nie potrzebuje... Mój syn, a zdaje się — nie mój... Morze pozbawiło mnie szczęścia ojcostwa. Nie widziałem, jak mi to rosło, nie kierowałem jego krokami, nie szukałem dla niego ścieżek. Co on teraz dla mnie czuje? Teraz, gdy tak chciałbym być prawdziwym ojcem, opiekować się bezradnym maleństwem, kierować pierwszemi kroczkami... Lecz on mnie już zupełnie nie potrzebuje! Zjawił się tylko na chwileczkę, ot, zaprezentować się ojcu i dziś znowu wraca do Petersburga... Ja jestem dla niego zupełnie obcy... A żebyś widział, jaki dorodny i jaki piękny! Taką teraz czuję dziwną pustkę w duszy, no i to brzemię lat. — Umilkł

— Lecz ja, bez morza!... — wyrwało mu się ciężkie westchnienie i schylił głowę w głębokiej zadumie.

— Czemże ja byłbym bez morza? Niczem, absolutnie niczem... rozumiesz? — wybuchnął nagle. — To chwila słabości głupstwo na usta wyciska. Zapomnij o tem... — dodał wstydliwie i szybko jął chodzić po pokładzie.

— Myślisz, że to nic nie znaczy? — zaczął znowu wzburzonym głosem. — Trzydzieści lat, rzuconych w tę głębię, trzydzieści lat wysiłku, z dna serca pochłonęły te fale... Myślisz, że mnie to nie skuło na życie całe z morzem? Nie puści mnie morze, rozumiesz? Człowiekowi się zdaje, że panuje nad morzem!... Śmiej się z tego... jesteśmy tylko niewolnikami... Panować nad tą głębią!... — oburzał się coraz bardziej. — Ledwie pozwala się uwielbiać!...

Morze powoli się uspakaja. Księżyc rozpościera drogę na łagodnych wygięciach fal.

Komiński usiadł na pokładzie i, wpatrując się w wygładzającą się, coraz bardziej, lśniącą powierzchnię, sam również nabierał spokoju.

— Kiedyś, kiedyś, chciałem się wyrwać morzu, a nawet zostać człowiekiem osiadłym — zaczął cicho.

— Po długiej i uciążliwej podróży, gdy żar podzwrotnikowego słońca spalił, zda się, wszelką wolę na popiół, roztoczyły się przed nami w przepychu roślinności, cudne wzgórza Cejlonu. Lecz ujrzałem inne wzgórza, tylko że porośnięte sosną i jedliną... Święty Krzyż! Niezmierna tęsknota ujrzenia ziemi, opuszczonej przed kilkunastu laty, ogarnęła mnie z niepohamowaną siłą. Porzuciłem swój statek i wróciłem do Polski. Kupiłem kilka włók ziemi, ożeniłem się i byłem szczęśliwy, to znaczy, że miałem wszystko, co się nazywa szczęściem: kochałem żonę, żona mnie, żyliśmy w dobrobycie... Lecz w głębi duszy czułem niezmierny niepokój; nie mogłem pozbyć się wrażenia, że życie, którem sobie stworzył, jest kruche, tymczasowe. Zdawało mi się, że siedzę na wybrzeżu, które podmywa fala. Morze domaga się duszy zbiegłego niewolnika — myślałem nieraz. I zacząłem tęsknić do tej niewoli. Zapragnąłem ujrzenia morza, choćby zdaleka, choćby przez jedną tylko chwilkę. Pod pretekstem jakiegoś interesu udałem się do Odessy. Ujrzałem morze. Ujrzałem swój statek. Nielitościwa walka zawrzała we mnie. Bolesna błyskawica rozdarła świadomość. I zadrwił żywioł z gotowych ramek mego życia: uderzyła mnie znagła pospolitość żony, szarość nieznośna codziennego dobrobytu, i porwał wielki ruch niezmiernej, cudnej głębi.

W złotych mgłach poranku obudziło się morze, ciche i radosne. W dali stoją łodzie rybackie bez ruchu; smukłe śnieżne żagle wysunęły się ku górze po pierwsze promienne pieszczoty.

Mknie „Mój Niszczyciel" po złotem przestworzu. Stada mew, z wesołem kwileniem, unoszą się nad nami.

Słońca coraz więcej na morzu. Uderzył wiatr.

Bezmiar życia, światła, trysnął z piersi milczących wód.

Zaiskrzyły się dokoła pląsające delfiny.

— Hola, chłopcy sygnalizują z torpedowca! — zawołałem.

Jeden z majtków chwycił czerwone flagi i zaczął wykonywać niemi ściśle określone ruchy, coraz prędzej, prędzej, aż się otoczył czerwonym wirem.

Po chwili meldował:

— Na południu ukazał się parowiec turecki. Niszczyciel Nr. 226 ma zrobić wywiad.

— Doskonale — mruknąłem.

— O, tak, panie miczmanie — odezwał się jeden z majtków, — będziemy mieli tytoń, a może nawet i czekoladę.

Stateczek ukrył się cały w korytarzu piany. Fale co chwila wpadały na pokład, oblewając i obryzgując wszystko dokoła. Wiatr przeraźliwie gwizdał w uszach.

Przyłożyłem szkła do oczu.

— Czy co widać, panie miczmanie?

— Tak ci pilno do tytoniu. Zdaje się niewielki parowiec turecki. Zobaczył nas, zmienia kierunek, wprost na południe.

Odległość od tureckiego statku szybko się zmniejszała. Nagle rozległ się daleki huk i fontanna wytrysła w odległości kilkuset kroków przed nami.

— Niech da mały. A teraz naprzód, — zawołałem. — Wal w nich, Piotrze.

Drgnął „Niszczyciel", zadymiła się armata. Czarną chmurą dymu zakrył się statek turecki.

Niszczyciele rozsypały się po jasnym lazurze, ze wszech stron starają się osaczyć statek, jak psy niedźwiedzia; on przez czarną powłokę łyska ognistemi kłami, szarpie wściekle morze, słupami wody się odgradza, acz atakowany coraz zajadlej. Nagle biała fala pary wdarła się w czarną chmurę, opór słabł. Jeszcze parę błysków i umilkły armaty.

— Doskonale, brawo! Turcy spuszczają szalupę, nawet do wody skaczą.

— Jazda naprzód! — krzyknąłem.

— To stare pudło — zawołał Piotr — śmie na morzu się pokazywać. Po Dnieprze lepsze chodzą.

— Nie sądźmy z pozoru — odezwał się sternik.

— Zobaczymy — mruknął majtek, wdrapując się na pokład.

— Panie miczmanie, mamy turczynkę, czekoladę i tytoń!

— Turczynka? A ładna? — posypały się głosy.

— Brawo, złapaliście transport. A jest co ciekawego? — wołali marynarze z innych niszczycieli.

— Turczynka, czekolada, tytoń! — tryumfował Piotr.

— A ładna? Pokazać! — wołali majtkowie.

— Czekoladę i tytoń dostaniecie, ale turczynka jedzie z nami, nieprawdaż, panie miczmaie? To na szczęście!

— No tak, — mruknąłem, mocno zakłopotany, co z tem szczęściem zrobić w operacji pod Bosforem.

— A gdzież ta turczynka? — spytałem.

— W kajucie, pilnują nasi marynarze.

— Wsadźcie ją do naszego niszczyciela i marsz na statki. To pudło podpalimy zaraz.

— — — — — — — — — — — — —

„Mój Niszczyciel" mknie wśród rozrzuconych promieni na milknącej otchłani. Gaśnie morze. Ktoś skrada się tajemniczy, od wschodu, sunie cichutko, lekkim nieznacznym ruchem przytłu-

(Dokończenie na str. 292).



Przyszłe gwiazdy filmowe.

MAURYCY DEKOBRA.

W królestwie gwiazd

Smok z Hollywoodu



Każda droga prowadzi do raju. Przyszły adept X muzy, przeszmuglowany do Hollywood w skrzyni.

U stóp górskich mas Kalifornji, tuż obok skąpanego w blaskach cudownego słońca Los Angeles — leży w pieczarze straszliwy smok. Bydlę to ogromne i nie nasycone. Biada, gdy znienacka podpełźnie, wyszczerzając rząd olbrzymich kłów i jeżąc potężne pazury. Krąży wciąż dokoła, niepostrzeżenie, że ledwo można domyśleć się jego obecności — wszechpotężny smok, okrutny, nieubłagany.

Tym smokiem jest FILM. Pożera wszystko, co tylko wpadnie w jego szpony: i filuterne blondynki, i upajające brunetki; romantyczne niewiniątka i zimne *Vampy;* pięknch dandysów i chłopów, „jak się patrzy"; istoty błyskotliwe i najpiękniejsze umysłowości. Katem jest na żyjących nadzieją. Upaja się ich łzami. Magnetyczną potęgą swych ślepi przyciąga do siebie nierozważnych i utopistów, by potem, po kilku tygodniach lub po kilku miesiącach odrzucić od siebie zniszczone rozbitki. Czasem igraszka potrwa parę lat — lecz wynik ostateczny jednaki. Najpiękniejszemi gwiazdami bawi się, jak kukłami, a gdy się nasyci — odrzuca precz od siebie, do wspólnej mogiły Zapomnienia, dając tem samem do poznania, że sława jest tylko dymkiem, uroczym, lecz nie trwałym.

Nigdzie, na całym obszarze kuli ziemskiej, gdzie tylu ludzi pokutuje za to, iż za wiele pokładali nadzieji w szanse życia, nigdzie niema tak okrutnego smoka. Bezlitosne to bydlę utrwala pewien symbol. Ktokolwiek doń się zbliży, oceni, iak bardzo wystrzegać się należy czczych mrzonek o sławie, która wcześniej czy później zgaśnie, niczem groszowa łojówka.

Podobnie jak pragnie wyznawca Proroka, aby dziecko, które zrodził, odbyło pielgrzymkę do Mekki, podobnie i ja, gdybym tylko miał syna lub córkę, pragnąłbym zaprowadzić je do Hollywoodu. Tu przynajmniej zdadzą sobie sprawę ze znikomości rzeczy ludzkich i spostrzega pod maską uprzejmego uśmiechu — właściwy wyraz twarzy, przepojony zawiścią. Kurs poznania zajmie nie więcej nad trzy miesiące — dziewięćdziesiąt dni.

* * *

Jatki chicagoskie były tematem licznych opisów, w których przybysz z Europy dawał wyraz największemu zdumieniu z powodu szybkości, z jaką przez wrota A zapędzano żywiec do t. zw. *beef packer'u*, skąd przez wrota B wychodził w puszkach jako konserwa.

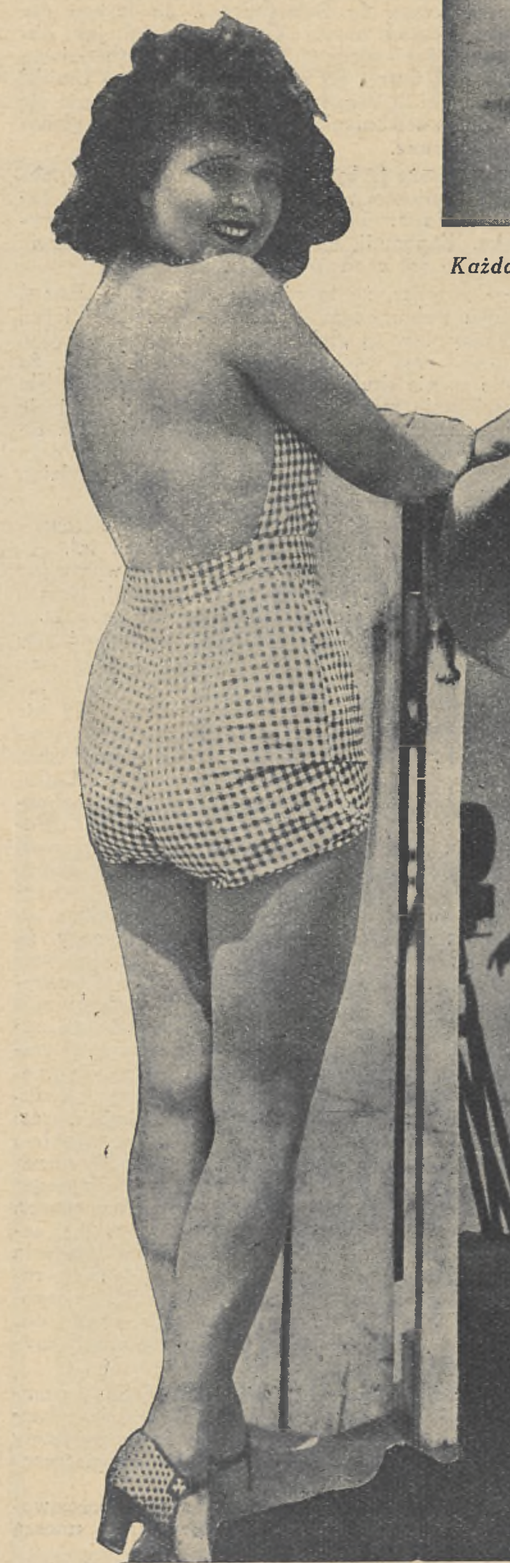
Hollywood spełnia to samo zadanie w dziedzinie rozrywek. Stada dorodnych dziewcząt i chłopaków, które pochłaniają te olbrzymie zakłady, nie są wprawdzie przeznaczone na ubój dla zgłodniałych tłumów, lecz służą gwoli wywołania śmiechu lub potoków łez. Film zastępuje tu *beef* — a klijenci z całego świata są nie mniej żarłoczni, jak w wypadku, gdy chodzi o pożywienia grzesznego ciała.

Ktokolwiek pragnie wczuć się w duch Hollywoodu, winien tu przyjechać uzbrojony, jak korespondent wojenny. Bo w obu wypadkach chodzi o długą, krwawą walkę, której stronami w Hollywoodzie są aktorzy i publiczność.

Publiczność osacza gwiazdy, a te, biedactwa, choć walczą zażarcie, mogą wytrzymać natarcie do pewnego czasu. Giną jedna po drugiej na polu walki, śmiertelnie ugodzone przez obojętność publiczności, wiecznie spragnionej czegoś nowego, domagającej się przypływu nieznanych talentów.

Hollywood czaruje pięknem swej przyrody, na której tle wybudowano cudne wille, jak z bajki. Lecz jednocześnie czai się w Hollywoodzie wiele bardzo smutku. Podwójne to uczucie — radości i smutku — jest charakterystyczne dla podobnego środowiska. Hollywood mógłby znajdować się nie w Ameryce, a równie dobrze we Francji, czy w Anglji lub w słonecznej Italji — co w niczem nie zmieniłoby stanu rzeczy. Bo Hollywood nie jest zagadnieniem lokalnem, a kwestją ogólno-ludzką. Szminka, grymas, uśmiech, tremolo orkiestry — to wszystko rzeczy mało ważne wobec zagadnienia o codziennem równaniu, rozwiązywanem tu przez wszystkich, równaniu, złożonem z egoizmu, pomnożonego przez pychę i dzielonego przez zawiść.

Gdy nocą wejdziemy na pagórki, wydzielające się nad smętną płaszczyzną równiny, pomiędzy drapaczami chmur z Los Angeles, długiemi alejami Beverley Hill i plażą Santa Monica — spostrzeżemy dokoła morze świateł. Patrzymy na niebo, usiane gwiazdami. Spoglądamy na ziemię, na której również lśnią miljony świateł i zadajemy sobie pytanie, czy każda z gwiazd, spadających z nieba, nie oznacza miejsca, przeznaczonego dla zgasłej „gwiazdy" filmowej?









Król reżyserów, Cecil B. de Mille przy pracy.

Chińskie cienie w studjo w Hollywood tworzą nieraz malownicze efekty.

Przedwcześnie zaćmiona gwiazda, Clara Bow.

(fot. Metro)



Willa Cecila B. de Mill'ea.

* * *

Od pierwszej chwili pobytu w Hollywoodzie uderzyła mnie ta tragedja. Działo się to w jednej z wytworniejszych restauracyj na Wilshire Boulevard. Do stołu podeszła kwiaciarka w dziwnym stroju: sukienka błękitna, kusa, pończochy czarne, lakierki — wyglądała raczej na *girlsę*. Sąsiad trącił mnie dyskretnie i szepnął:

— Czy nie poznaje pan, że ta, nieco zwiędła piękność, jest gwiazdą z 1924-go roku — słynną Grace X? Sześć lat temu zaledwie... Sześć lat w filmie, to niemal sześć wieków... Zarabiała wówczas pięć tysięcy dolarów tygodniowo — a dziś nie ma trzydziestu. Co, straszne?

Spojrzałem z politowaniem na miss Grace. Ofiara Smoka! Ofiara, jak wiele innych — Clara Kimball Young, Helena Gibson, Florence Turner, Maë Marsch, lub wreszcie pierwsza ze słynnych *vampów* — Theda Bara. Zginęły w ogólnym odmęcie. Ofiary wojny z publicznością. Jedne z nich cierpią nędzę. Inne skromniutko powychodziły zamąż. Inna zajęła się interesami. Ta znów straszliwie roztyła się i nie opuszcza, biedactwo, czterech ścian pokoju, w którym przesiaduje całemi dniami i pociesza się widokiem nazwiska swego na pożółkłych stronach gazet z przed lat. Wiele zaszkodził im również film dźwiękowy, zabijając, jak galopujące suchoty — w parę tygodni.

— Są między nimi i tacy szczęśliwcy, których śmierć zabrała, gdy byli u szczytu sławy. Pamięta pan Barbarę La Marr, Wallace'a Berda lub Valentina... Coby się z nimi stało w okresie filmu dźwiękowego? Ot, chociażby Valentino, ten cudny amant, bożyszcze pań, lecz mówiący po angielsku ze straszliwym akcentem. Proszę sobie wyobrazić tego artystę, zmuszonego grać po włosku, w specjalnej wersji, rolę, odtwarzaną po angielsku przez innego artystę? Czy uwierzy pan, że pokazywano nam niedawno film retrospektywny z Valentinem, który wywołał ogólny wybuch śmiechu. O, tak! Publiczność jest okrutna! Szczęśliwi są ci, których śmierć zabiera w pełni rozwoju talentu. *Talkie* wszak zmusił Nilsa Asther do opuszczenia filmu i zabrał nam Janningsa i Veidta, którzy musieli powrócić do swego kraju.

Oto ogólny obraz, któremu się przyjrzymy podczas naszej wędrówki. Lepiej, niż gdziekolwiek indziej objawi się nam dusza ludzka, a to dzięki naprężeniu nerwowemu i wybujałości temperamentów. Dowiemy się również, że dramaty ze sceny niczem nie są nieraz wobec dramatów życiowych, rozgrywających się dokoła objektywu. Stwierdzimy wreszcie, iż nieraz pod udanemi łzami, czają się łzy szczere, ludzi zbolałych...

Arytmetyka jajowa



Jajczarstwo stanowi poważną dziedzinę w życiu gospodarczem. Zagraniczne fermy posiadają znakomite urządzenia, które pozwalają intensywnie i racjonalnie prowadzić jajczarstwo. Sprawa ta w naszym kraju pozostawia, niestety, wiele do życzenia

Jaja... Temat za tydzień aktualny. Jaja do potraw, jaja do ciasta, jaja na pisanki — jaj miljony i niezliczona ilość kłopotów „jajowych". W tej materji jednak nie jesteśmy kompetentni. Rzecz to czcigodnej pani Elżbiety radzić, co i jak — o czem wiedzą i wszystkie redakcje, i wszyscy Czytelnicy.

O jajach tu tylko wspomnimy kilka słów, podając, jako przyczynek do naszych ilustracyj trochę cyfr.

A więc przedewszystkiem nie każdy wie zapewne, że posiadamy w Polsce około 30 miljonów kur nośnych. Dalej — że poczciwe te kury znoszą rocznie 2.976.000.000 jaj. Pomnóżmy tę cyfrę przez cenę rynkową, a przekonamy się, jak poważną dziedzinę życia gospodarczego stanowi jajczarstwo, zwłaszcza, iż zapotrzebowanie rynku wewnętrznego pozwala nam wywozić około 5.000 wagonów rocznie zagranicę.



Niesłychanie dodatnim czynnikiem dla rozwoju jajczarstwa jest oparcie go na organizacji spółdzielczej.

Impresje teatralne

Wesoły Wieczór: „Wiosna idzie".

„O wiosno, młodości roku, o, młodości, wiosno życia", — śpiewał włoski poeta i zapewne natchnął miejscowy „Wesoły wieczór" do „wiośnianej rewji". Aczkolwiek lekki dreszczyk przejmował mnie na myśl o rymach „wiosna-radosna", oraz „maj-raj", których całe tomy zadudnią tamtejsze szerszenie, poszedłem odważnie i rzeczywiście okazało się, że to tylko „stachy na lachy". Przeciwnie, było bardzo wesoło i goło (zapewne, jako symbol czasu), bardzo wiosennie i bynajmniej nie sennie. Rozpoczęła tryumfalny pochód „wiosenny" rzeczywiście wiośniana Nowicka, za nią przyfrunęły „Bociany", ozdobione przemiły śpiewem uroczej Gabrielli, jeszcze piękniejszej potem w niezwykle gustownym poemacie ze złota, przetykanego fijołkami. A Niemirzanka, cóż może być bardziej wiośnianego, niż jej uśmiech i jej filuterne zaloty? Jest doprawdy zachwycająca w skeczu retrospektywnym, w którym dziarsko jej sekundują: Bukojemska, Macherski i Krzewiński. Rozkoszny jest Bolcio Kamiński, jako 100% mężczyzna", świetny Sempoliński, jako ucieszny „Tomasz", jak zwykle dobry Klimaszewski, jak zwykle miły Rentgen, z przejęciem recytująca Kraszewska, arcykomiczny Skonieczny, no i wyrabiająca się Żelichowska, o której w Paryżu powiedzianoby: „Elle a du chien".

Ale szczyt wszystkiego to Parnell. To rozumiem — tancerz z... (nie mogę napisać z czem, bo to niecenzuralne, a szkoda: to byłoby najlepsze określenie go), a więc powiedzmy z jędrnym, jurnym temperamentem tanecznym, porywającym, oszałamiającym, odurzającym i podniecającym swą żywiołowością. Takie tym razem tango... „zaiwanił" (przepraszam bardzo, ale to rzeczywiście też jedyne trafne określenie), że scena chyba tego długo nie wytrzyma. Deski popękają! Ale to było coś wspaniałego! Wymarzoną partnerkę ma w Zizi Halamie, coraz lepszej akrobatycznie. Jeszcze tylko wzmianka o pięknych kostjumach Galewskiej i dobrem opracowaniu muzycznem Wiehlera. A „girls" tym razem słabiej. Panie Parnell, ostro do nich!

Ananas: „Tata nie wraca".

Trochę za wiele o tym „tacie". Rewja nieco „przepolitykowana". A pozatem znakomita. Zresztą, do „Ananasa" zawsze warto pójść chociażby ze względu na rozkosze wzrokowe, których żaden teatr w tak powabnej postaci pokazać nie potrafi. Stasia Orska, Dusia Sozonowiczówna, Basia Gilewska — oto kwietna wiązanka czarująco-uroczych osóbek, na które chętnie patrzy się nieustannie. Przytem z Orskiej śpiewaczka o dźwięcznym głosie, a z Dusi i Basi trzebaby zrobić stanowczo stały duecik. Jako „sisters", dobrane wzrostem i typem urody, zwinne tancerki i pełne werwy piosenkarki, mogłyby szeroko zasłynąć. Skwierczyńska w zapowiadaniu była słabsza, zato w grotesce znów świetna. Runowiecka, jak to ona: im bardziej charakterystyczna, tem lepsza. Entuzjastycznie powitano powrót dawno niewidzianych Korczyńską i Śnieżyńskiego. Ich walc był ponad wszelkie pochwały, jako precyzja wykonania, tempo i wdzięk ogólny. Brawa zbierali: Boroński, Belski, Rewski i Leński, a zwłaszcza Welin, no i dyr. Białostocki za bardzo ładne melodje.

Henryk Liński.



Galerja sztuk pięknych „Wesołego Wieczoru" — pp.: Nowicka, Gabrielli. Bukojemska, Kraszewska, Żelichowska, Halama i Niemirzanka — uwodzi Bolcia Kamińskiego. (fot. Brzozowski)



Pp. Belski, Leński, Rewski i Welin, jako pyszny chór „BB" w „Ananasie"

J. S. FLETCHER.

5)

MORDERSTWO NA OGRODOWEJ

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

Do młodego adwokata, Shelmore'a, zamieszkałego w miasteczku Southemstowe, zgłasza się młoda panna, Cyntja Gretty, z tem, że opiekun jej, pan Deane, zniknął nagle z hotelu, w którym miał na nią oczekiwać. Adwokat i Cyntja udają się do hotelu, by zbadać sytuację na miejscu. Wzywają inspektora Mellaponta, który, po śledztwie wśród służby, powierza sprawę swemu najzdolniejszemu detektywowi, Johnowi Hackdale.

— Pani wyszła, panie Hackdale — rzekła. — Poszła na kolację w towarzystwie lorda Reville. Przypuszczam, że wróci dopiero o jedenastej. W domu jest tylko pan Alfred.

— Chciałbym z nim pomówić — rzekł Hackdale. — Nie jest chyba zajęty?

Dziewczyna zaśmiała się, widocznie chcąc dać do zrozumienia, że pan Alfred nigdy nie bywał zajęty. Wprowadziwszy Hackdala do hallu, bez pukania otworzyła drzwi pokoju i stanęła na progu.

— Pan Hackdale, proszę pana — zameldowała z tą samą poufałością, z jaką zwróciła się poprzednio do gościa. — Pragnie się z panem widzieć.

W saloniku, przed kominkiem, siedział w głębokim fotelu pan Alfred — jegomość w wieku nieokreślonym, owinięty w elegancki ciepły szlafrok, z małą aksamitną czapeczką na głowie. Twarz tego człowieka była pozbawiona wszelkiego wyrazu, niebieskie wyblakłe oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń, a na wąskich ustach, ocienionych przystrzyżonym wąsikiem, majaczył równie niewyraźny uśmiech. W palcach prawej ręki trzymał duże cygaro, a w lewej — numer wieczornego „Timesa". Na małym stoliku, tuż przy fotelu ,stała butelka whisky, syfon wody sodowej i do połowy opróżniona szklanka. Skinął przyjaźnie głową na widok wchodzącego Hackdala i uśmiechnął się kącikiem ust.

— Hallo, Hackdale! — zawołał. — Cieszę się, że pana widzę! Siadaj pan! Wypije pan szklaneczkę? Dobrze panu zrobi! Chyba zimno na dworze?

— Dziękuję panu, — odparł Hackdale. — Przyszedłem tylko na chwilkę, bo właściwie jestem na codziennej nocnej inspekcji. Pani Champernowne niema w domu?

— Jest na obiedzie z lordem Reville, — odparł pan Alfred. — Zebrało się tam większe towarzystwo. Czy ma pan coś nowego?

— Jakto, więc nie słyszał pan o najnowszej w mieście sensacji? — zapytał Hackdale. — Otóż, pewien jegomość, który przybył w poniedziałek do hotelu Chancellor, zniknął nagle w sposób niewytłumaczony.

— Uciekł, nie zapłaciwszy rachunku! — zauważył pan Alfred. — Zwykła historja.

— Nie, jegomość ten jest właśnie bardzo bogaty. Nazywa się... — umilkł nagle, przyglądając się badawczo panu Alfredowi... — Nazywa się Deane, James Deane.

— Nigdy o nim nie słyszałem — oznajmił pan Alfred. — Nazwisko to jest dla mnie zupełnie obce. Czy znał go ktoś w mieście?

— Wątpię — odparł Hackdale. — Zdaje się, że nikt go nie znał. Był to wysoki mężczyzna z siwą brodą. Pan naogół często przechadza się po mieście, czy nie zauważył pan tego jegomościa?

— Nie mam pojęcia, tylu ludzi codziennie się spotyka, — rzekł pan Alfred. — Sądząc z pańskiego opisu, wyglądem swym nie rzucał się specjalnie w oczy. Widział go pan?

— Wszyscy właściwie go widzieli, — rzekł Hackdale. — Całe miasteczko mówi o nim. Wszyscy zajęci są poszukiwaniami.

— Wobec tego może pan śmiało odpocząć z pół godzinki, — zauważył pan Alfred z uśmiechem. — Siadaj pan i wypal chociaż cygaro.

Ale Hackdale nie przyjął zaproszenia, i w pięć minut potem, opuścił willę pani Champernowne, udając się do komendy policji. Po drodze spotkał jednego z detektywów i, nie mówiąc mu nic o swem odkryciu, zabrał go z sobą do gmachu komendy. Po przybyciu na miejsce, Hackdale udał się natychmiast do gabinetu inspektora. Zamknął uważnie za sobą drzwi i spokojnym głosem oznajmił:

— Znalazłem go!

Mellapon skoczył na równe nogi.

— Co takiego? Deana?

— Oczywiście, a kogóżby innego? — uśmiechnął się Hackdale. — Znalazłem go.

— Gdzie?

— Na piaszczystej polance na Ogrodowej.

Przez chwilę panowała cisza.

— Jakto?... Znalazł go pan... nieżywego? — wyszeptał inspektor.

— Więcej nawet, — odparł Hackdale — bo z przestrzeloną głową. Nie mogło to być samobójstwo, gdyż rewolweru przy nim nie znalazłem.

Mellapont spojrzał ze zdziwieniem, poczem wskazał wywiadowcy krzesło.

— Niech pan siada, panie Hackdale, i niech pan opowie dokładnie o wszystkiem. Chwileczkę! Czy mówił pan już o tem komuś?

— Nikomu, — odparł Hackdale. — Było to tak...

Mellapont wysłuchał uważnie do końca.

— Czy przejrzał pan ubranie? — spytał po chwili.

— Nie.

— Hm... nie wiemy więc, czy został obrabowany, — zauważył Mellapont. — Najprawdopodobniej tak! Należałoby to niezwłocznie skonstatować.

— Ważniejszą rzeczą jest sprawdzenie śladów stóp, — rzekł nagle Hackdale, zaniepokojony. — Niestety, sam nie mogłem nic zauważyć, bo miałem przy sobie tylko małą latarkę. Jakieś ślady muszą być, bo jeżeli nawet morderca zabił go gdzieindziej, musiał przecież przenieść ciało na polankę.

— Więc uważa pan, że zamordowano go gdzieindziej? — zapytał Mellapont.

— Tak mi się zdaawło i dlatego oglądałem

Nowoczesny prąd racjonalnego pielęgnowania urody.

W poprzednim artykule starałem się przekonać czytelników o zgubnym wpływie szablonowego pielęgnowania urody uniwersalnemi kosmetykami, a zatem o konieczności dostosowywania nieszkodliwego preparatu lekarsko-kosmetycznego do danej właściwości cery, wieku, ba, nawet pory roku. Dążeniem mojem też będzie odsłonić nielogiczność przestarzałych nawyknień i przesądów, jakiemi dziś jeszcze tuzinkowa „literatura" niepowołanych doradców — karmi ogół. Jako przykład niechaj posłuży mylne zapatrywanie na temperaturę wody do mycia twarzy. Utarło się mniemanie, jakoby zimna woda sprzyjała czerstwości skóry twarzy, a tymczasem udowodniły ścisłe doświadczenia naukowe wręcz szkodliwe jej działanie. Myjąc skórę zimną wodą, ma się wprawdzie uczucie orzeźwienia, z powodu wpływu zimna na zakończenia nerwów, ale za tę chwilową przyjemność pozbawiamy się szeregu zbawiennych dla cery czynników. Przedewszystkiem niezbitym jest faktem nierozpuszczalność wydzielin skóry w zimnej wodzie. Na twarzy zatem mytej zimną wodą zalegają przez czas posługiwania się nią wszelkie wydzieliny skóry, warunkujące nieczystość cery. W porach krzepnie tłuszcz i ciała białkowe, naskórek ulega twardnieniu, co sprzyja załamywaniu się naskórka w postaci linijek. A najważniejsze: odpada moment odżywczy wskutek braku koniecznego dla tężyzny skóry dopływu ciepła. Kardynalną zatem zasadą pielęgnowania twarzy jest mycie tak ciepłą wodą, jaką bez przykrego uczucia znieść można. Odnosi się to do każdej właściwości cery, głównie zaś do tłustej (połysk, pory, wągry i t. d.). *Tłustą* cerę spłukuje się długo gorącą wodą, *bez poprzedniego natłuszczenia jej kremem*, poczem myje się lekko proszkiem marmurowym „Miraculum". Wystrzegać się wszelkich mydeł. Pudrować tłustą cerę odtłuszczającym pudrem *higjenicznym* Dra Lustra. W wypadkach łuszczenia się tłustej cery, co często się zdarza, *powlec* twarz na 10 minut przed myciem mleczkiem „Lityną", a nie kremem ani wazeliną. Mleczko to nietylko wygładza, ale i ożywia naskórek.

Prawidłową zaś lub *suchą* cerę natłuszcza się przed myciem kremem: „Ultrasol", celem zapobieżenia uczuciu ściągania się skóry, tudzież uwarunkowania gładkości i soczystości. Wykwintny acz tani ten krem godny jest polecenia dla licznych wskazań codziennego użytku, szczególnie jako ochronny środek przed zmianami atmosferycznemi.

Prawidłową skórę myje się mydłem neutralnym Dra Lustra, *suchą* zaś prawdziwemi otrąbkami migdałowemi z przepisu Dra Lustra. Do prawidłowej i suchej cery nadaje się jedynie: Dra Lustra puder egzotyczny.

Dr. med. J. Libański.

dokładnie pobliskie krzaki, — odparł Hackdale. — Nie dostrzegłem jednak żadnych śladów, nawet trawa dokoła nie jest zmięta.

— Nie ma pan żadnych innych domysłów?

— Nic absolutnie!

Mimowoli zataił znalezienie agrafki, po chwili namysłu, postanowił zachować to narazie w tajemnicy.

— Nic absolutnie, — powtórzył. — Zresztą, trudno mi było obejrzeć ciało, bo twarz trupa zagrzebana jest w piasku, a nie chciałem go ruszać, dopóki pan go nie zobaczy. Jeżeli zaś chodzi o moje zdanie, sądzę, że morderstwo to popełnione zostało dla rabunku.

— Możliwe! — wykrzyknął Mellapont. — No, chodźmy, zobaczymy!

Hackdale stał przez chwilę jeszcze w gabinecie, gdy inspektor donośnym głosem wydawał polecenia swym podwładnym. Gdy znaleźli się na ulicy, Mellapont dotknął ramienia Hackdala.

— Zna pan Chilhama, lekarza policyjnego, prawda? Mieszka w tym oto domu. Wstąp pan do niego i poproś, aby zaraz poszedł z nami. Będziemy mogli stwierdzić coś niecoś na miejscu.

Po dziesięciu zaledwie minutach, trzej mężczyźni, pod wodzą Hackdala, wolnym krokiem szli w stronę ulicy Ogrodowej. Sześć dużych latarek elektrycznych oświeciło zwłoki, leżące na miękkim białym piasku. Chilham ukląkł nad trupem.

— Tak, strzał padł od tyłu! — mruknął lekarz. — Z odległości najwyżej dwóch yardów. Odwróćcie go, panowie! Hm... Kula przeszła na wylot, czyli, że morderca musiał stać bardzo blisko swej ofiary.

Ale Mellapont, pomny tego, co słyszał w hotelu Chancellor, zwrócił uwagę na coś całkiem innego. Nie interesował go już sam fakt morderstwa. Pragnął nadewszystko dociec jego przyzyczyny. Palcem wskazał krawat zmarłego.

— Szpilki niema brylantowej! Nie widzę również złotego zegarka! Watson, przeszukajcie kieszenie!

Policjant, do którego były zwrócone te słowa, zanurzył ręce we wszystkie kieszenie trupa pokolei.

— Nic niema, panie inspektorze! Niema nawet chusteczki! Wszystkie kieszenie są puste!

— Tak przypuszczałem, — mruknął Mellapont. — Hm... Poprostu zabójstwo dla rabunku. Hackdale, niech pan natychmiast jedzie do prywatnego mieszkania Shelmora i zakomunikuje mu o wszystkiem. Może Shelmore, wraz z swoją ciotką, uda się do hotelu Chancellor i przygotuje miss Pretty do tej przykrej nowiny. Powiedz pan Shelmorowi, aby zaczekał na mnie w hotelu. Zostanę tu przez chwilę, aby dokładnie obejrzeć zwłoki.

Hackdale wyszedł od adwokata i wrócił do pensjonatu dopiero o północy. W hallu spotkał Ebbitta, który również dopiero wrócił do domu. Stary aktor zaprosił Hackdale do swego pokoju i postawił na stole butelkę whisky.

— Przyda się to panu po pracy, — zauważył. — I ja się chętnie napiję. Wie pan już coś o tym zaginoinym?

— Tak, — odparł Hackdale. — Znalazłem go zabitego i obrabowanego.

— Obrabowanego! — zawołał Ebbitt.

— Nawet chustki przy nim nie znaleziono, — ciągnął dalej Hackdale. — Sądząc z opowiadań jego wychowanicy, miał podobno przy sobie większą gotówkę i cenną biżuterję.

— Tak... tak... sam dostrzegłem piękną brylantową szpilkę, — zauważył Ebbitt. — To znaczy, że jeżeli to jest ten sam jegomość...

— Z pewnością ten sam.

Wypił szklaneczkę whisky i, pożegnawszy Ebbitta, udał się do swego pokoju. W sypialni swej miał w ścianie skrytkę. Otworzył i schował w niej agrafkę, znalezioną przy zmarłym.

ROZDZIAŁ V.

POCZTÓWKA.

Mellapont stanął u wejścia do hotelu Chancellor w chwili właśnie, gdy nocny partjer zamykał drzwi frontowe.

— Czy pan Shelmore już przyszedł, Kight?

— Jest z szefem w salonie, sir, — odparł portjer. — Zdaje się, że czekają na pana.

— Doskonale, — rzekł Mellapont, kierując się w stronę schodów. Nagle przystanął i zbliżył się znowu do portjera. — Posłuchajcie, Kight, — szepnął poufale, — czy oprócz was, jest tu w nocy jakiś posługacz?

— Tak, sir, jest chłopak. Nazywa się Marsh.

— Zawołajcie go więc na chwilę, Kight, chciałbym z nim pomówić.

Portjer odszedł w stronę ciemnego korytarza i, po chwili, wrócił z młodym mężczyzną. Z wyglądu rąk jego i fartucha można było wnioskować, że zajęty był właśnie czyszczeniem obuwia. Mellapont zwrócił się do chłopca.

— Słuchajcie, Marsh, kiedy zbieracie obuwie z korytarza? Wieczorem, czy rano?

— Jak czasem, sir, — odparł posługacz. — Zależy to od tego, ilu gości mamy w hotelu. Gdy hotel jest przepełniony, zabieram buty nawet w nocy, gdy zaś gości jest niewiele, zabieram je dopiero około piątej nad ranem.

— A z poniedziałku na wtorek? — zapytał Mellapont. — Jakżeście zrobili?

— Z poniedziałku na wtorek nie było ani jednego pokoju wolnego. Pierwszą partję obuwia zebrałem o pół do dwunastej, i dopiero po oczyszczeniu tej partji poszedłem po drugą.

— Czy nie przypominacie sobie, jakie obuwie stało przed pokojem Nr. 7? — zapytał Mellapont.

— Owszem, pamiętam. Stały tam dwie pary obuwia, jedna para czarna i jedna żółta. Oczyściłem je wraz z innemi i postawiłem przed drzwi mniej więcej około pierwszej w nocy. Gdy o piątej przechodziłem, zauważyłem, że buty jeszcze stały.

Mellapont kiwnął głową i śpiesznym krokiem udał się do salonu. Zastał tam Shelmora i Bellinga, omawiających szczegóły tajemniczej sprawy. Mellapont podzielił się z nimi informacjami, zasięgniętemi od posługacza.

— Panowie może śmiać się będą — zakończył Mellapont, — ja jednak uważam, że wiadomość ta jest bardzo ważna. Badając zwłoki Deana, dostrzegłem, że na nogach miał lakierki, które zazwyczaj nosi się przecież tylko do stroju wieczorowego! Znaczy to, że Deane nie miał zamiaru odbycia dłuższej przechadzki, a o wyjściu za miasto nie myślał napewno. Prawdopodobnie zamierzał udać się do któregoś z sąsiednich domów. Wnioskuję więc, że Deane znał tu kogoś w naszem mieście, chociaż panna Pretty twierdzi inaczej. Ale kogo? Śledztwo musi to wyjaśnić. Panna Pretty powiada, że opiekun jej był tutaj po raz pierwszy... No, zobaczymy... Ale, ale, jak się ma panna Pretty? Czy jest bardzo zrozpaczona?

— Przeraziła się bardzo, ale potem uspokoiła się, — odparł Shelmore. — Ciotka moja zostanie u niej na noc.

— Pańska ciotka jest naprawdę nieoceniona, — rzekł Mellapont. — Jutro rano będziemy musieli pomówić jeszcze z panną Pretty. Teraz,— zwrócił się do Bellinga, — chciałbym obejrzeć rzeczy, które zamordowany zostawił w pokoju Nr. 7. Może znajdziemy tam coś, co zdoła wyświetlić tę trudną zagadkę. Sądzę, że na górze już wszyscy śpią, panie Belling? Niech pan nas tam zaprowadzi.

Belling przeprowadził ich przez małe podwóreczko do obszernego hallu, z którego wiodły szerokie schody na pierwsze piętro. Otworzywszy drzwi do pokoju Nr. 7, właściciel hotelu zapalił światło i szepnąwszy Mellapontowi, aby po przeprowadzeniu rewizji zamknął pokój na klucz, zostawił inspektora i Shelmore, a sam zeszedł na dół. Po wyjściu Bellinga, Mellapont przekręcił klucz w zamku i począł się ciekawie rozglądać po pokoju.

— Stary musiał być bardzo dokładny i porządny, panie Shelmore, — mruknął. — Odrazu można to zauważyć.

Shelmore wiedział, co inspektor ma na myśli. W pokoju panował istotnie wielki porządek, nawet wśród drobiazgów. Przybory toaletowe ustawione były na małej gotowalni, gazety i książki leżały w porządku na stole, a poprzez przymknięte drzwi szafy widać było rozwieszone garnitury.

— Spodziewa się pan coś znaleźć? — zapytał Shelmore, któremu dziwną się wydawała wizyta w pokoju zmarłego.

— Nic nie można wiedzieć, panie Shelmore, — odparł Mellapont, spoglądając nań z powagą. — Może prędzej tutaj coś znajdziemy, niż przy zmarłym. Hackdale powiedział panu pewno, że nawet chustki do nosa nie miał przy sobie. Coprawda zdziwiło mnie to bardzo, bo na cóż chustka mogłaby się przydać złodziejowi? W każdym razie ograbiono go ze wszystkiego. Zabrano mu pieniądze, biżuterję i dokumenty. Przypomniałem sobie w tej chwili, że muszę jeszcze o coś zapytać Bellinga, jak zejdziemy na dół. Tymczasem rozejrzę się tutaj. Przedewszystkiem należy zajrzeć do tej walizki, może tam się co znajdzie.

(D. c. n.)

JAN PIOTROWSKI.

OSTATNIA FALA

3. Pochwała przyjaźni

„Najpiękniejszym darem, jaki, oprócz mądrości, przypadł ludziom w udziale, jest przyjaźń". Pozwólcie, kochani Przyjaciele-Czytelnicy i dawni radjo-znajomi, że te słowa La Rochefoucauld'a położę na wstępie do naszej dzisiejszej pogawędki.

A oto jeden z najpiękniejszych przykładów przyjaźni, jaki zapisała historja.

Działo się to w prastarej Helladzie, w czasach, w których nad Syrakuzami ciążyła twarda pięść okrutnego tyrana, Denizjusza.

I stało się dnia pewnego, że obywatel tego grodu, Phintias, fałszywie przez zauszników tyrana oskarżony, został skazany na śmierć. Spokojnie przyjął wyrok — lecz, pragnąc przed śmiercią załatwić w sąsiedniem mieście sprawę wielkiej wagi, prosił, aby otworzono mu na dni kilka wrota więzienia, osadzając w niem, jako zakładnika, przyjaciela Damona. Tyran, który słyszał niejednokrotnie o serdecznych węzłach, łączących tych dwoje, zgodził się, uprzedzając, że gdyby Phintias miał nie powrócić w dniu umówionym, Damon odda głowę pod miecz katowski.

I nadszedł dzień fatalny, a Phintias nie wracał. Poprowadzono Damona na miejsce stracenia. Promieniał radością, idąc na śmierć za przyjaciela, gdy nagle nadbiegł Phintias i, zdyszany, rzucił się w przyjacielskie ramiona. I oto w obliczu zdumionego i do głębi wstrząśniętego tłumu rozpoczął się między przyjaciółmi spór, bo każdy z nich pragnął oddać życie za przyjaciela. Aż tyran, wzruszony tym widokiem, ułaskawił obydwu, prosząc ich wzamian o dar tak pięknej przyjaźni.

„Prawdziwa przyjaźń jest podobna do drzew wiecznie zielonych, obciążonych jednocześnie kwiatem i owocem" — mówi Bernardin de St. Pierre. Byron nazywa ją „bezskrzydlną miłością", a Bacon podnosi, że niemasz na świecie samotności bardziej beznadziejnej, niż samotność człowieka, który nie ma przyjaciół. Bez nich życie staje się dlań jakby szeroką pustynią, bo człowiek, niezdolny do przyjaźni, bliższy jest zwierzętom, niż ludziom. W obliczu licznych i różnorodnych dobrodziejstw przyjaźni wielki romantyczny poeta niemiecki, Schiller, powiedział: „Gdybym był jedynym człowiekiem na świecie, szukałbym duszy bratniej nawet w złomach skalnych, obejmując je ramionami przyjaźni".

Niema człowieka, któryby nie tęsknił do prawdziwej przyjaźni i nie pragnął jej — choć wielu, zawiedzionych w jej poszukiwaniach, wątpi nawet w możliwość jej istnienia.

Poszukiwania boskiego daru przyjaźni, podobnie jak i miłości, należy rozpocząć od samego siebie. La Rochefoucauld jest zdania, że, aby pozyskać prawdziwych przyjaciół, trzeba być samemu zdolnym do przyjaźni. Emerson naucza, że podobnie jak jedyną nagrodą cnoty jest cnota, jedynym sposobem pozyskania przyjaciela jest obdarzyć go swą przyjaźnią — zgodny jest w tem z mądrym nauczycielem Nerona, Seneką, który lubił powtarzać słowa Hecatona: „Kochajcie, a będziecie kochani".

Kto jest naszym prawdziwym przyjacielem? Przyjaciel kocha nas — lecz nie każdy, kto nas kocha, jest naszym przyjacielem" — ostrzega Seneka. De Sacy podkreśla, że wielkimi są przyjaciele, zdobyci przez nasze wielkie zalety — inni t. zw. „przyjaciele" są raczej naszymi gośćmi, towarzyszami, lub wspólnikami. Prawdziwa przyjaźn, jak mniema E. Legouvé, jest czemś w rodzaju pokrewieństwa z wyboru. Nasi prawdziwi krewni są przyjaciółmi, których narzuciła nam natura — nasi przyjaciele, to krewni, których wybrały nasze serca.

„Prawdziwych przyjaciół poznajemy w potrzebie". Opowiadają np. o młodziutkim Bayronie, że zaprzyjaźniwszy się w jednej z niższych klas gimnazjalnych z niejakim Peelem, nie odstępował go na krok jeden. Razu pewnego jakiś kolega z wyższej klasy, znany brutal i zawalidroga, począł znęcać się nad Peelem, młodszym od siebie o lat kilka. Wykręcił mu ramię i bił go po niem bez litości. Byron, zaczerwieniony i drżący z wściekłości, był zbyt słaby, aby móc wystąpić czynnie w obronie przyjaciela. Spytał więc okrutnika: „Ile razów masz zamiar mu wymierzyć?" — „Cóż cię to może obchodzić?" — odparł brutal, zaskoczony tem pytaniem. „— Pytam dlatego, bo pragnę, abyś mi wsypał połowę" — odparł Byron, podsuwając swe ramię...

A oto jeszcze jeden piękny i charakterystyczny przykład przyjaźni. Henryk IV Francuski czynił pewnego razu wymówki d'Aubigné'mu, że pozostaje przyjacielem pana de la Tremouille, mimo że król skazał go na wygnanie. „Wasza Kr. M. — odparł d'Aubigné — pan de Tremouille dość już jest nieszczęśliwy, tracąc łaskę królewską. Jakżeż mam go opuścić w chwili, w której najwięcej potrzebuje mej przyjaźni?".

Nigdy nie jest się zbyt ostrożnym w wyborze przyjaciół. Cycero naucza, że kochać należy dopiero wtedy, gdy się osądziło — bo nie wolno sądzić, gdy się już kocha — a La Bruyère jest zdania, że nie trzeba kochać swych przyjaciół w celu ich wypróbowania — lecz wypróbować ich, aby kochać. Kiedy nazwało się kogoś imieniem przyjaciela, trzeba mu zaufać zupełnie — bo, jak mówi Rochefoucauld, większym wstydem okrywa nas podejrzliwość w stosunku do przyjaciela, niż jego zdrada...

„Kto ma dziesięciu przyjaciół—nie ma żadnego" — ostrzega Malesherbes przed zbytniem szafowaniem przyjaźnią. A oto wesoła anegdota historyczna na temat przysłowia: „Więcej poufałości, niż znajomości". Kawalera de Narbonne zaczepił pewnego razu jakiś jegomość słowami: „Dzieńdobry, przyjacielu! Jak się masz?!" De Narbonne, rozgniewany tą poufałością, odparł: „— A, dzieńdobry, mój przyjacielu! Jak się nazywasz?!"

Przyjaźn, podobnie jak miłość, winna być bezinteresowna — przynajmniej materjalnie bezinteresowna. Jednak, jak zauważył La Bruyère, „bez względu na stopień naszej bezinteresowności w stosunku do tych, których kochamy, trzeba czasami poświęcić się dla nich i — zdobyć się na wspaniałomyślność przyjęcia ich daru. Przyjąć dar z rąk przyjaciela może ten, który znajduje w tem przyjemność, równą przyjemności, jaką odczuwa ofiarodawca".

Jakże rzadką jest jednak przyjaźń doskonała, taka, jakiej nikłe i delikatne zarysy odtworzyć może nasza tęsknota na podstawie tych pięknych myśli, które przytoczyłem przed chwilą! Rozczarowani przez przyjaciół fałszywych, a raczej przez ludzi, którzy nigdy przyjaciółmi naszymi nie byli, jakże często złorzeczymy i bluźnimy świętemu uczuciu przyjaźni! „Przyjaźń jest pustym dźwiękiem" — mówił Napoleon. To, co twój wróg najokrutniejszy może ci powiedzieć w oczy najbardziej nieprzyjemnego, jest niczem wobec tego, co twoi najlepsi przyjaciele mówią o tobie za twemi plecami" — pisał rozgoryczony Musset.

„Nie mów nigdy źle o sobie — wyręczą cię w tem twoi przyjaciele" — sarkał Talleyrand.

Lecz kto znalazł prawdziwego przyjaciela, jakby narodził się po raz drugi. Bo przyjaźń doskonała trwa nawet po śmierci, jak to pięknie powiedział Emerson: „Wspomnienie moich zmarłych przyjaciół jest dla mnie słodkie i przyjemne. Gdy ich posiadałem, bałem się ich stracić — gdy ich straciłem, wciąż ich posiadam..."

Życzę więc Wam, kochani Przyjeciele-Czytelnicy, abyście zdobyli w życiu rzadki i cenny dar prawdziwej przyjaźni. I, jeśli wola —

Do widzenia w następnym numerze!



Uśmiech Neptuna

(Dokończenie ze str. 285)

mia połysk, wygładza wzgórza fal. Toń lekko się burzy, zachodzi rumieńcem purpury, lecz szary bezwzględny pan zarzuca ciemny welon na jasną sukienkę i tylko z objęć jego wyrwały się różowe obłoczki i pomknęły gdzieś w dal.

Turczynka siedzi — cichutko.

Oczy turczynki, jakby czarne motyle, unoszą się nad naszym okręcikiem. Fruwając z miejsca na miejsce, nagle zabiły trwożliwie skrzydłami nademną i usiadły na piersi.

Nie są znów takie trwożliwe... nawet władne... o, nawet bardzo...

Morze promienieje, jakby wchłonęło w siebie radosną nowinę, pluszczą fale o burty i rozsypują się w wesołym pogwarze.

Tak lekko, radośnie na duszy.

Chmura nawet zeszła z twarzy Komińskiego, uśmiechając się radośnie, sam prowadzi statek.

— Może ster weźmiesz — odezwał się niespodzianie: — weź, zobaczysz, co ci własne szczęście przyniesie — uśmiechnął się dobrotliwie.

Skwapliwie i radośnie ująłem ster.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Potężne, ciemne masy gór wyłoniły się z morza i nagle obległy wzdłuż całe południe widnokręgu.

Upojne wonie kwiecia migdałowego otulały niszczyciela coraz bardziej.

Turczynka się zerwała: — „W moim kraju jesteśmy" — triumfowały oczy.

— Brzeg blisko, ostrożnie, do samego wybrzeża nie podjeżdżać, napewno strzeżone!

— Możemy już ją wysadzić, będzie miała dno pod nogami — szepta z przejęciem Piotr.

— Jeszcze trochę bliżej, tylko cicho, chłopcy, nie hałasować, bo zaczną strzelać, turczynkę nam zabiją. Tu już można.

— Komiński, powiedz, że wolna!

Chorąży powtórzył po turecku.

Błysnęły oczy radośnie, szybkim ruchem zerwała welon z twarzy i stanęła przede mną rozpromieniona; po chwili szepnęła coś i szybko zeszła do wody.

„Niszczyciel" mój stoi bez ruchu, jakby wsłuchany w lekki szmer morza, to fale oblewają ciało turczynki. Wyłania się jej postać zgrabna i strzelista, z toni. Już się tylko majaczy w nocnej mgle.

Nagle duszę ogarnęła niezmierna tęsknota, zdało mi się, że z gaju migdałowego płyną powłóczyste spojrzenia i wzywają do cudnej krainy.

— O morzu myśl, tylko o morzu! — rozległ mi się nad uchem ostry głos chorążego, gdym stał, w daleki brzeg wpatrzony.

Głos ten znagła uderzył w pierś boleśnie. Zdało mi się, że to w serce uderzyła fala, i oto bije, wciąż bije... Choć Komiński milczy już, zmarszczył brwi krzaczaste, tylko ostrym sięga wzrokiem do dna serca... dzwon duszy dzwoni i dzwoni!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Zostało nas dwóch na pokładzie.

Już blady seledyn rozpełzł się po morzu. Pogasły gwiazdy. Senna, zmęczona, mocno pobladła twarz księżyca wyziera z obłoków.

Komiński siedzi bez ruchu, wpatrzony w morze, przyjmujące jakby z rozkoszą refleksy budzącego się dnia. Naraz się zerwał:

— Ale, ale, przecież dostałem jakiś list przed samem odejściem, zapomniałem o nim zupełnie... — i szybkiemi ruchami rąk jął obszukiwać kieszenie. — No, jest! charakter pisma jakiś nieznany... — Gwałtownym ruchem rozdarł kopertę.

Drogi, kochany mój ojcze!

Chociaż cię nie znam, lecz tak strasznie tęsknię za tobą. Na jeden dzień wpadnę służbowo do Sewastopola, chcę cię poznać koniecznie. Drogi, kochany mój ojcze, piszę, uprzedzam, gdyż boję się, że pójdziesz gdzieś w morze, a tak cię ujrzeć pragnę. A wiesz, o czem marzę? że po skończonej wojnie ruszymy gdzieś razem w daleką podróż morską. Więcej się nie rozstaniemy. I będziesz miał morze i mnie, mój ojcze.

Komiński usiadł na pokład, tuląc list do piersi. Nagle się zerwał i przyskoczył do mnie.

— Masz, czytaj — Wacek mnie kocha! Nie jestem mu obcy! On mnie nie potępił! Wacek rozumie morze! I porwał mnie w objęcia, że aż „Niszczyciel", pozbawiony steru, ruszył sobie w bok.

— Poczekaj... Stary... Ster!...

Złota zorza zapaliła morze.

— Że też ten srogi Neptun potrafi się czasem tak ślicznie uśmiechnąć do swego niewolnika — szeptał pijany z radości Komiński.

WILLY REESE.

Hochstaplerzy

Oszukany oszust

Londyńska kronika kryminalna obfituje niewątpliwie w najróżniejsze znakomite wypadki wymuszeń i oszustw na tle rozwodowem. Afera jednak pana C. Robinsona z 1924 roku przeszła wszystkie dotychczas notowane. Przed stołem sędziów przewinął się film o niezwykłej, nieprawdopodobnej wręcz treści. Autorem jego był C. Robinson, utalentowany hochstapler.

Oto mała próbka jego „wyczynów".

Pewnego razu do magazynu jednego z jubilerów w Paryżu, zgłosił się wytworny pan. Rzucając niedbale rękawiczki do wnętrza cylindra, oświadczył chęć nabycia kolji brylantowej dla swojej żony. Usłużny jubiler z całą gotowością przedstawił cały szereg wspaniałych klejnotów, pragnąc zadowolić wybredny gust klijenta. Po długich a starannych oględzinach, nieznajomy wybrał piękną kolję, bezcenny pierścień brylantowy, agrafę i osiem luźnych brylantów „na specjalny użytek", za łączną sumę sto osiemdziesiąt tysięcy franków. Nieznajomy, a był nim Robinson, zgodził się na cenę, wyjął małe pudełeczko, ulokował tam owe osiem brylantów, oświadczając patrzącemu kupcowi, że te klejnoty weźmie ze sobą, po resztę zaś przyśle kogoś, kto ureguluje rachunek gotówką. Właśnie miał schować zamknięte na kluczyk puzderko, gdy nagle zbladł, zachwiał się na nogach i padł na krzesło. Przerażony jubiler pobiegł po wodę. Po chwili pan wrócił do siebie, przeprosił kupca za kłopot i oświadczył, że wobec tego nie weźmie pudełka, a przyśle kogoś, kto ureguluje gotówką należność. Jako zadatek dał trzy tysiące franków.

Minęła jedna godzina naznaczona, a nikt po klejnoty się nie zgłaszał. Wreszcie podejrzenie zakradło się do duszy jubilera. Z trudem otwiera puzderko i okrzyk przerażenia wyrywa mu się z piersi. Na safianowem denku leży osiem szkiełek. Chwila, gdy pobiegł po wodę, wystarczyła do zamiany kasetek.

Drobny ten wyczyn był jednak bagatelką w porównaniu do projektu, jaki oddawna nurtował umysł Robinsona. Postanowił ni mniej, ni więcej, tylko zrobić fortunę za jednym zamachem, aby później móc odpoczywać długie lata po trudach żywota. W tym celu, czując podświadomie zbliżającą się okazję, uznał za właściwe rozejść się „na niby" ze swą piękną małżonką. Od kilku tedy miesięcy mieszkali osobno, a każdego dnia Robinson bacznie szukał ofiary. Kiedyś wreszcie napotkał wiadomość, że maharadża A. przybywa do Londynu. Doznał olśnienia — oto człowiek dla mnie — pomyślał. Nie mieszkając poczynił przygotowania, zachowując dla siebie miejsce reżysera. Znajomość między piękną Lory Robinson a maharadżą została zawarta na balu w pałacu Wiktorji. Nie długo trwały zabiegi Lory o względy księcia. Młody Hindus stracił wkrótce głowę i rozgorzał, jak żagiew smolna. Nastąpił szereg pięknych dni dwojga kochanków. Zwykłym trybem ludzi w ich sytuacji, pojechali do Paryża, tego azylum kochanków. Tu, bojąc się, aby miłość Lory nie przygasła, obsypywał ją podarunkami, złotem i klejnotami. Była naprawdę królewską kochanką.

A tymczasem, ukryty jak tygrys, prawowity małżonek pięknej pani, obliczał szanse skoku. Rutyna i wieloletnia praktyka kazała uciec się do pomocy przyjaciela, o pięknem nazwisku, ale, niestety, jednakiej konduity. Elegancki Newton znacznie lepiej pasował na męża wytwornej Lory, niż gruby i krótki Robinson. On też został mianowany ad hoc mężem, a o tem, że jest rogaczem, miał się wkrótce przekonać. Tymczasem Lora, ze swym czekoladnwym księciem, przebywała w apartamentach hotelu na Rue de Rivoli. Nagle którejś nocy, silnem szarpnięciem, otwarto drzwi ich sypialni i do pokoju wpadł, dziko tocząc oczami, wymachując rękami, mąż ad hoc, mr. Newton. Zbladł piękny Hindus i czekał ataku. Lecz groźny przybysz nie błyskał bronią. „Nareszcie mam dowody, których potrzebowałem!" — wykrzyknął, i cofając się, zginął w mrokach korytarzy. Załkała piękna Lory, lecz księciu udało się ją uspokoić. Sam jednak stokroć więcej potrzebował pociechy, bowiem za wszelką cenę, pod grozą utraty tronu, nie mógł dopuścić, żeby jego poddani, w dalekich Indjach, dowiedzieli się o jego udziale w wiarołomstwie. Nie pozostawało zatem nic innego, jak, odpowiednio do swego stanu i środków, wzmocnić uszkodzoną część małżeńską grubym czekiem. Resztę zatem, tej tak przykrej nocy spędził maharadża na rozmyślaniach, czy uda mu się okupić milczenie pana Robinsona. Dopomogła mu w tem Lory, twierdząc, że z całą pewnością mąż jej zgodzi się na pieniądze — jest wszak taki chciwy!

„Dam mu 25.000 funtów, sądzisz, że to wystarczy?". — „Spróbuj!" — odrzekła Lory po namyśle. Tu właśnie sprawa poczyna się wikłać. Pani Robinson otrzymaną czekiem sumę uczciwie partażowała ze swym rogaczem. Przelew tej sumy z konta pana A. został dyskretnie dokonany przez Midland Bank.

Minęło dwa lata, sprawa cała dawno już poszła w zapomnienie, gdy nagle pan Robinson występuje z oskarżeniem przeciwko Midland Bankowi o wypłatę brakującej sumy 125 tys. funtów, wnosząc jednocześnie prośbę o rozwód. Świadomie bowiem zdradzany mąż, został na dobitek oszukany. Dowiedział się, że nabab dał nie 25, lecz 150 tys. funtów, które zagarnięte zostały, w skrytości ducha posądzał ich o to, przez Lory, obecnie kochankę Newtona i panią Bevan, jej przyjaciółkę.

Jednak sir John Simon, znany sędzia londyński, ujął sprawę z innego punktu. Twierdził mianowicie, że godna para, posiłkując się pomocnikami, zastawiła potrzask na indyjskiego księcia, aby pod grozą skandalu wymusić na nim miljony. Sir John puścił w ruch swych wywiadowców i wyniósł na światło dzienne, bez cienia litości i współczucia, najbardziej intymne szczegóły alkowy pięknej Lory. Wyszukano stare czeki, które Robinson otrzymywał od żony i dowiedziono, że żył on z przygód Lory, i że używał jej celem wymuszania większych sum. Przewinęła się cała galerja poprzedników czekoladowego wielbiciela, wyszły na jaw tajemnice różnych hoteli i sypialni. Dalej okazało się, że istotnie książę dał nie 25, lecz 150 tysięcy funtów. Wreszcie piękna Lory, widząc bezowocność tłomaczeń, postanowiła powiedzieć wszystko.

Oddawna już zamierzała uwolnić się od męża, serce jej bowiem należało do innego! Newton jest jej wybrańcem. Ten z kolei z łatwością uzyskał od Hindusa 150 tysięcy funtów. Podczas dwukrotnych pertraktacyj uważany był oczywista za Robinsona. Z tej sumy postanowiono dać mężowi Lory tylko 25 tysięcy, resztę natomiast zachować sobie „na czarną godzinę". Zresztą i na tej reszcie ciążyły zobowiązania! 10 tysięcy otrzymała pani Bevan. Całość podjęto za fałszywemi dokumentami i podpisami. Sir John, patrząc na Robinsona, zauważył złośliwie: — a więc oszukany oszust!

Zajęto się następnie figurantami tej zagmatwanej historji. Pierwszą osobą była dzielna pani Bevan. Ona to nawiązała romans z kolonowym sekretarzem księcia. Uległa mu w niezliczonych tete-a-tete, podczas gdy jej przyjaciółka przysięgała miłość dozgonną maharadży. Za wierność i gorliwość otrzymała piękną porcję funtów. Dalej ciekawie wygląda sylwetka oficera angielskiego, specjalnie przydzielonego do księcia przez rząd brytyjski, na czas jego pobytu w Anglji. Okazał się też znakomitym adjutantem spraw miłosnych nababa. W ciągu procesu wyszło na jaw, że i jego udział ciąży na ogólnej sumie. Został też niezwłocznie wyrzucony z korpusu oficerskiego, nazwisko jego jednak musiało być trzymane w tajemnicy, że względu na osobę księcia.

Mistrzowie szachów

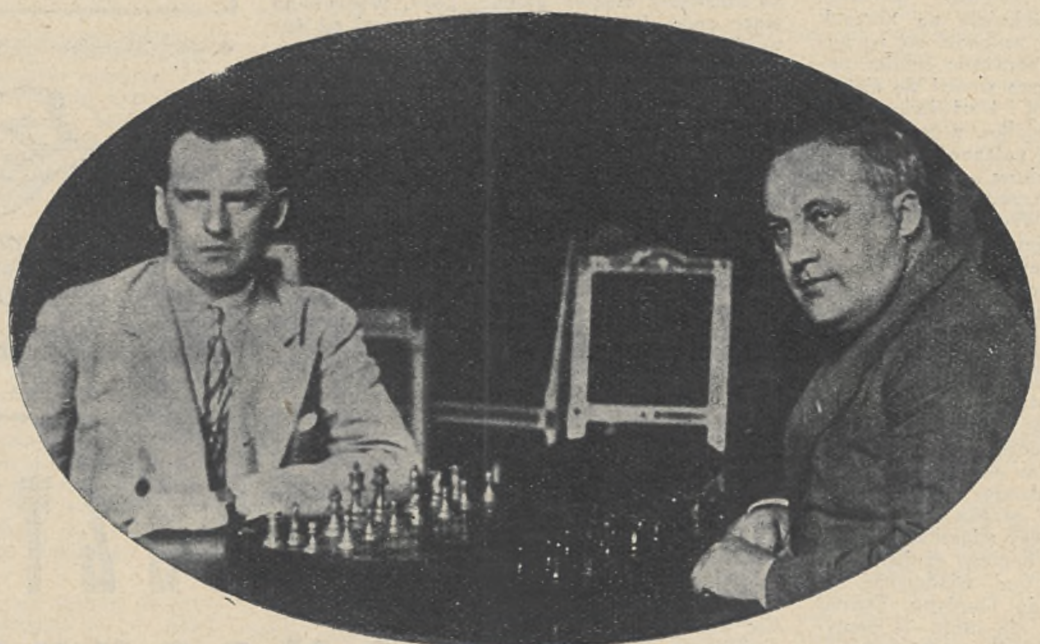
Champion świata, fenomenalny Lasker, pogromca słynnego Steinitza, spotyka w 1909 roku godnego rywala. Emanuel Lasker, mistrz i filozof szachowy, doktór i docent matematyki, literat i prelegent szachów oraz teorji wszystkich istniejących gier umysłowych, staje oko w oko z Rubinsteinem, wychowańcem ksiąg talmudycznych, którego niezwykły umysł wygimnastykował się w obcowaniu z sofistyką Starego Zakonu. Odkrywca i protektor Rubinsteina — Łódzki Klub Szachistów—odnosi swój największy tryumf: „wielki Akiba" okazuje się przeciwnikiem równorzędnym mistrzowi świata. „Czy pan wygra match'a z Laskerem?" — zapytano obcesowo Rubinsteina. — „Nie wiem, ale będę dobrze grał" — brzmiała skromna odpowiedź. — „A czy pan przygotował przeciw Laskerowi jakiś nieznany dotychczas warjant debiutowy?" — „Mam ich czterdzieści!" — padło groźne wyznanie.

Niestety, wojna przeszkodziła spotkaniu. Zresztą już w 1914 roku nastąpiło załamanie się przepracowanego mistrza. Rubinstein zszedł do rzędu „zwykłych" arcymistrzów i nie mógł już pretendować do berła szachowego.



Nieznane zdjęcie: Rubinstein w okresie szczytu powodzenia.

Tymczasem w 1911 r. do San Sebastiano przybył z zamiarem wzięcia udziału w odbywającym się tam turnieju, 22-letni, elegancki młodzieniec, rodem z Kuby, Jose Raul Capablanca di Graupera. Śmietanka międzynarodowych matadorów, z Bernsteinem i Nimcowiczem na czele, zaprotestowała przeciwko zaproszeniu przez protekcję debiutanta, nie posiadającego dostatecznych kwalifikacyj. Młodego mistrza nie zraziło chłodne przyjęcie. Spokojnie zasiadł on do szachownicy i w pierwszym dniu, w efektownym stylu rozgromił Bernsteina, a w parę dni potem — Nimcowicza. Ku zdumieniu wytrawnych wirtuozów gry królewskiej, młody kubańczyk zdobył pierwszą nagrodę, uzyskując przydomek „Żelaznego Capy". Po wojnie odbyło się jego spotkanie z Laskerem. „Żelazny Capa" zwyciężył w zdecydowany sposób. Podobno gorące słońce Havanny zaszkodziło dotychczasowemu championowi. Nie pomogły nawet słynne miejscowe cygara, które Lasker palił podczas gry bezustannie. Nieomylny Capa zwyciężył cztery do zera (przy 10 remis).



Alechin (na lewo) i Bogolubow podczas matchu o mistrzostwo świata.

Powodzenie upoiło nowego primusa, który odtąd grywał rzadko i nie trenował się wcale. Capablanca odnosił jeszcze tryumfy, a tymczasem, w ciszy gabinetu, przestawiając małe figurki, szykował się do decydującej walki przyszły champion świata, zawzięty Alechin. Ziemianin z pochodzenia, prawnik z wykształcenia, szachista z amatorstwa, 22-letni Aleksander syn Aleksandra Alechin ujawnił fenomenalny talent, zajmując za Laskerem i Capablanką trzecie miejsce w hierarchji światowej (w 1914 r.). Po wojnie i rewolucji dla zrujnowanego finansowo Alechina szachy stały się źródłem zarobków. Awansował on szybko i już po paru latach zafascynował miłośników szachów grą, godną mistrza świata. Nie omylili się argentyńscy mecenasi, urządzając kosztem 12.000 dolarów, match Capablanca—Alechin. W Buenos-Aires faktem się stała niewiarygodna porażka „Żelaznego Capy". Niezwyciężony mistrz przegrał sześć partyj, wygrywając zaledwie trzy. Berło szachowe świata przeszło w ręce ambitnego rosjanina.



Capablanca po porażce przyjechał do Europy i bierze udział we wszystkich turniejach.

Mistrz świata musi przyjmować kolejne wyzwania konkurentów.. Alechinowi wypadło więc bronić swego zagrożonego tytułu. Tym razem rywalem był ziomek jego, przedstawiciel „optymizmu szachowego" i fanatyk ryzyka, były student politechniki warszawskiej, champion S. S. S. R., obecnie emigrant — Bogolubow, od niedawna obywatel niemiecki, z racji swego kozackiego stylu szachowego „furor teutonicus" nazwany. Match był grany z wielką ekspresją. Jedenastoma zwycięstwami, przy pięciu porażkach, Alechin utrzymał się na piedestale. Niewielka (9) liczba nierozegranych zachwiała tezą o „remisowej śmierci", grożącej jakoby szachom.

W lipcu b. roku zdetronizowany Capablanca spotka się z nadzieją Holandji, 30-letnim świetnym mistrzem Euwe (doktorem matematyki), który w match'ach z Alechinem i Bogolubowem ujawnił extra-

klasę, ulegając w bardzo nieznacznym stosunku. Po tem spotkaniu projektowany jest match o mistrzostwo świata. Ex-champion Capablanca wyzywa mistrza świata Alechina na rewanżowe spotkanie. Coprawda, zdaniem niektórych znawców, nikt z obecnych mistrzów nie może mieć nadziei dorównania Alechinowi. Ale żelazny kubańczyk, nauczony klęską, też nie zasypiał gruszek (względnie bananów) w popiele.

Prześcignięty przez ucznia, mistrz i profesor, postąpił jak prawdziwy sportsman: skonstatował wyższość przeciwnika, przepłynął ocean i zamieszkał w Paryżu, co dało mu okazję wzięcia udziału w całym szeregu turniejów Starego Świata. Już match z Euwem będzie sygnałem, czy można się spodziewać od Capablanki sukcesu. On tylko bowiem jest jedynym rywalem Alechina, który rzeczywiście prześcignął sam siebie: w ostatnim turnieju, w bardzo silnym zespole, mistrz świata wygrał 13 partyj, a zremizował dwie zaledwie, nie przegrywając ani jednej. Wynik, jakiego dotychczas nikomu nie udało się osiągnąć!...

Kazimierz Makarczyk.

Wśród książek

Korpus Ochrony Pogranicza. — w szóstą rocznicę objęcia służby na granicach Rzeczypospolitej. — Wyd. Żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, pod redakcją kpt. Franciszka Jamka-Koperskiego. — Warszawa, 1931.

Niepodobna pominąć w naszym dziale tak pożytecznej i budującej monografji, zawierającej bogaty plon dorobku pracy wojskowej i kulturalnej żołnierzy KOP'u na naszych Kresach. Gotowi do odparcia każdej napaści, czujni na każdy krok, któryby mógł zagrażać obronie naszej ziemi — oni właśnie, miła brać żołnierska, pełnią również na Kresach służbę obywatelską, współdziałając nad wychowaniem miejscowej ludności, zgnębionej przez 150-letni ucisk zaborcy, wynędzniałej wskutek spustoszeń wojennych i zdemoralizowanej przez nasyłanych z za kordonu agitatorów. Zakres pracy olbrzymi — ale jakże wdzięczny. Przed żołnierzem KOP'u czoła uchylić winien najbardziej zagorzały antimilitarysta. Poza materjałem oficjalnym, w którym zestawiono dane o działalności KOP'u, monografja zawiera szereg ciekawych artykułów z dziedziny historji Kresów, to zaś, że autorami ich są oficerowie Korpusu, dowodnie świadczy o przywiązaniu dowódców KOP'u do ziem, powierzonych ich pieczy. Nowele, ilustrujące życie żołnierza, rzuca ciekawe światło na poczucie obowiązku, którem się kierują, budząc poszanowanie i wdzięczność dla Rzeczypospolitej wśród ludności. Dodać wreszcie należy bogaty materjał ilustracyjny, zdobiący starannie wykonaną tę pracę — a jesteśmy pewni, że znajdzie ona wielu nabywców, którzy tem samem przysporzą środków powstałemu niedawno funduszowi społecznemu żołnierzy KOP'u.

Bolesław Koreywo — „Czarne na białem".

Zasłużony prezes Zaw. Zw. Literatów Wielkopolskich, Bolesław Koreywo, porusza w tej powieści temat nader aktualny: niebezpieczeństwo, w jakie popadają zapalne jednostki powojennej młodzieży. Brak doświadczenia życiowego i nieodłączna od młodego wieku chęć reformowania świata, wciąga je często w zakonspirowane organizacje o utopijnej ideologji, która, skonfrontowana z życiem, zawodzi na całej linji i sieje tylko rozkład umysłów, a w następstwie osłabia lub zgoła niszczy spoistość wszelkich więzów społecznych. Tendencja powieści zaciążyła nad jej formalno-artystyczną stroną. Mimo to „Czarne na białem", dzięki umiejętnie w powieść wprowadzonej sensacyjności, czyta się od początku do końca z dużem, wciąż wzrastającem zainteresowaniem, a zamyka się tę książkę z otuchą, że jednak dom i rodzina jest jeszcze wciąż pewną ostoją przeciw naporowi komunizmu.

Em. S.

E. M. Schummer. „Nowa Litwa".

„Nowa Litwa" jest pierwszą polską książką o dzisiejszej Litwie. W szeregu wybornych essay'ów informuje nas autor o dzisiejszej kulturze litewskiej. Dużo miejsca stosunkowo poświęca p. Schummer literaturze litewskiej i sztuce. Osobne rozdziały traktują o teatrze, o sztukach plastycznych, o uniwersytecie, o muzeach litewskich, o sztuce ludowej, o życiu Polaków-ziemian i t. p.

Drugą część poświęcił autor sprawom mniejszości. Kilka rozdziałów poświęconych jest pozatem rozważaniom nad t. zw. „kwestją wileńską" z punktu widzenia prawa międzynarodowego, stojąc na stanowisku tezy prof. Makowskiego.

P. Schummer jest pierwszym polskim pisarzem, któremu rząd litewski udzielił wizy wjazdowej do Kowna i pozwolił na kilkomiesięczny pobyt na Litwie. To też studjum to, nacechowane sumiennością i objektywizmem, jakie daje tylko bezpośrednie zetknięcie się z badanym przedmiotem, czyta się z niesłabnącem zainteresowaniem. O powodzeniu książki świadczy fakt przyjęcia jej przez krótykę polską i litewską. Litwini podkreślają objektywizm autora, a prof. J. A. Herbaczewski w swej entuzjastycznej recenzji w kowieńskiem „Gaisai" pisze, że „książka E. M. Schummer'a lepiej poinformowała Europę o Litwie, niżby tego dokazać potrafili sami Litwini".

k. m.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIELKI KONKURS ZADANIOWY „7 DNI".

Począwszy od bieżącego N-ru rozpoczynamy wielki

wiosenny konkurs zadaniowy.

Konkurs obejmować będzie zadania, które zostaną zamieszczone w niniejszym oraz 6 następnych n-rach „7 Dni".

W każdym N-rze zamieszczamy kupon, oznaczony kolejnym N-rem. W terminie 10-dniowym po ukazaniu się ostatniego zadania konkursowego należy nadesłać wszystkie rozwiązania wraz z kuponami listem poleconym p. a. redakcji. W dniu, o którym nastąpi zawiadomienie, w lokalu wydawnictwa odbędzie się publiczne losowanie nagród.

NAGRODY.

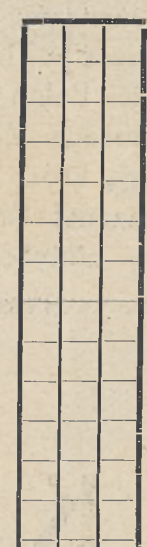
Wśród Czytelników, którzy rozwiążą trafnie wszystkie zadania konkursowe, zostaną rozlosowane

cenne nagrody w liczbie sześciu.

Szczegółowy opis nagród zostanie ogłoszony w Nr. 16-tym. Oprócz tych nagród przewiduje się *szereg nagród dodatkowych, w postaci książek beletrystycznych, oraz nagrody pocieszenia.*

LOGOGRYF

(drugie zadanie konkursowe)



a, a, a, a, a, a, a, a, a, e, e, e, e, i, i, o, o, u, y, c, c, c, h, h, k, k, k, k, l, l, l, l, n, n, n, p, r, r, r, ś, z, z.

Z powyższych liter ułożyć 14 wyrazów i rozmieścić je w takiej kolejności, aby początkowe ich litery, czytane z góry ku dołowi, utworzyły imię i nazwisko słynnego artysty.

Konkurs zadaniowy „7 Dni"

KUPON Nr. 2

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr. 8

KRZYŻÓWKA

	a	b	c	d	e	f	g	h
8	d	e	m	o	n		f	a
7	e	l	i	z	a		a	r
6	l	a	t	o		k	r	a
5	t			n	a	w	y	k
4	a	b	o		s	a	s	
3		o	l	a		r		o
2	a	n	a	l	i	t	y	k
1	r	a	f	a		a		o

METAMORFOZA

m e t r
m e t a
b e t a
b u t a
b u r a

Mogą być i inne rozwiązania, również prawidłowe.

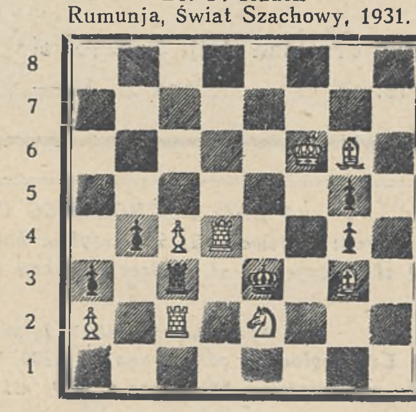
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z Nr. 9.

	a	b	c	d	e	f	g	h
8	A	L	F	O	N	S		W
7	V		I		A	Z	J	A
6	I	L	U	Z	J	A		R
5	C		M	A	D		O	T
4	E	L		W	A	C	J	A
3	N	E		O	L	A		
2	N	N		J	E	L	E	Ń
1	A		R	E	J	E		E

Wyniki losowania nagród za rozwiązanie zadań z Nr. 7, 8 i 9 zostaną ogłoszone w N-rze następnym.

SZACHY

Dr. F. Rduch
Rumunja, Świat Szachowy, 1931.



Mat w 3 posunięciach.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200. ½ strony zł. 600. mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.